



Fundacja
Edukacyjna
JANA KARSKIEGO

MIEJSCE URODZENIA

Historie lokalne spisane przez
uczniów Akademii Młodego
Obywatela im. Jana Karaskiego
2019 rok

**Historie zebrane przez młodzież
z Łochowa, Miedniewic i Raciąża
w 2019 r.**

Było niegdyś miasteczko, prześliczne, otwarte miasteczko, bez murów i bram... (...) Wieczorem po całodziennej pracy zbierali się młodzi mieszkańcy na zielonych, kwitnących gościńcach. Śpiewano, tańczono i swawolono. Starzy siedzieli na przyzbach i patrząc na rozbawioną młodzież, przywoływali w pamięci minione lata. (...) Mieszkańcy żyli sobie z dnia na dzień, we dnie pracowali, a po pracy śpiewali. Nie mieli o czym pisać. W całym miasteczku nie było kalendarza. Wątpliwe, czy istniał zegar.

Icchok Lejbusz Percec, *Stare dzieje* (w zbiorze opowiadań *Dusza*)

Dofinansowano ze środków Muzeum Historii Polski
w ramach programu Patriotyzm Jutra.



Koordinacja projektu i redakcja: Jakub Jaskółowski

Opracowanie graficzne, skład: High Profile

© Fundacja Edukacyjna Jana Karłowicza, Warszawa 2019



Niniejsza książka (*Miejsce urodzenia. Historie lokalne spisane przez uczniów Akademii Młodego Obywatela im. Jana Karłowicza. 2019 rok*) podlega następującej licencji publicznej Creative Commons: CC BY-NC 4.0 (Uznanie autorstwa – użycie niekomercyjne międzynarodowe).

Utwór podlega ochronie prawa autorskiego lub innych stosownych przepisów prawa. Korzystanie z tego utworu w sposób inny niż dozwolony na podstawie niniejszej licencji lub przepisów prawa jest zabronione.

Wykonanie jakiegokolwiek uprawnienia do utworu określonego w niniejszej licencji oznacza przyjęcie i zgodę na związanie postanowieniami niniejszej licencji.

ISBN 978-83-949986-7-7

SPIS TREŚCI

ŁOCHÓW

- Adrian Adamski, *A Bug wylewał* 17
- Jakub Biernat, *Chleb z cukrem* 18
- Oskar Bobrowicz, *Kocham Łochów* 20
- Radostaw Bylak, *Z życzliwej wsi* 22
- Michał Chojecki, *Czas mijał wolniej* 24
- Filip Denis, *Dziadek łasuch* 26
- Natalia Denis, *Z Zieleńca do Łochowa* 27
- Paulina Denis, *Tak się schował, że zasnął* 28
- Eliza Gajewska, *Nie było światła, były kartki* 29
- Radostaw Garwoliński, *Romek Mesko* 31
- Mateusz Kądziała, *Droga do szkoły* 32
- Kacper Kopania, *Ziemniaki w mundurkach* 34
- Alan Krzyżewski, *Wojnę pamiętam* 35
- Jakub Masztalerz, *Plany na jutro* 36
- Alicja Murawska, *Na wysokiej wiśni* 38
- Dawid Oniszk, *Dobrego nauczyciela pamięta się całe życie* 39
- Magdalena Osemka, *Tańce na deptaku* 41
- Zuzanna Pełka, *Lubił muzykę, grał na gitarze* 43
- Antonina Prochacka, *Ślady świętego Mikołaja* 44
- Eliza Reluga, *Najgorsze było pranie zimą* 46
- Kacper Skóra, *Wszystko dobre, póki człowiek oddycha* 48
- Dawid Strąk, *Swetry dla dzieci* 50
- Wiktoria Styś, *Z Orzełka przez Warszawę do Łochowa* 52

Lena Świętochowska, *Najgorsza była okupacja* 53
Maksymilian Wielgat, *Swetry szyłam na maszynie* 55
Krystyna Wilczyńska, *Uparty pan od historii* 56

MIEDNIEWICE

Hanna Baran, *Kartki, kolejki i czołgi* 61
Dominik Bargieł, *Prawdziwy smak świąt* 64
Martyna Jakubaszek, Weronika Jakubaszek, *Miałam wtedy 14 lat i bałam się* 66
Wiktoria Jakubaszek, *Nauczycielka historii* 70
Angelika Jankowska, *Zbieraliśmy różne rzeczy* 72
Julia Lewandowska, *Po wojnie nie wróciłam do szkoły* 74
Adam Owczarek, *Noce i dni w kolejkach* 76
Kinga Płuciennik, *Chleb z masłem raz w tygodniu* 79
Lena Podolska, *Rozstrzelali go na naszych oczach* 81
Franciszek Szymczak, *Teraz jestem samodzielna i niezależna* 90
Karolina Zielińska, *W konspiracji od dziecka* 92

RACIĄŻ

Anna Benkie, Natalia Gizler, *O cioci z Bergen-Belsen* 99
Wojciech Bojanowski, *Dzieciństwo w niewoli* 101
Jakub Brdak, *Studniówka w stanie wojennym* 104
Adrianna Brodowska, Aleksandra Cieślak, *Pamiętam smak biednego życia*
oraz Opowieść śp. Krystyny Kowalskiej 109
Ida Dąbrowska, *PRL miał złe, ale i dobre strony* 113
Kinga Długoszewska, *Wojna i komunizm* 115
Kacper Grzankowski, *Z nadzieją na lepsze jutro* 117

Kacper Jędrzejewski, *Bez obawy mówię o przeszłości* 119
Ewelina Kwiatkowska, *Dom na Rzewuskiego* 122
Dawid Ławnicki, *Okupacyjne dylematy* 125
Weronika Marciniak, *Trzy razy pod lufą karabinu* 126
Natalia Nidzgorska, *Ciągle strach* 128
Liliana Sadowska, *Wypędzenie i powrót do Raciąża* 130
Aleksandra Stanowska, *Od pieśni o Leninie do Solidarności* 137
Zofia Szcześniewska, *Komunizm, Raciąg i ja* 141
Zuzanna Wiejska, *Pomagać, mimo wszystko* 145
Kinga Wilczyńska, *Koszmar trwa w mojej głowie* 147
Weronika Wiśniewska, *Zmiana 1989* 149
Patrycja Dziemian, Roksana Lewandowska, *O naszym udziale w Akademii
Młodego Obywatela im. Jana Karckiego* 152

Wstęp

Całą jesień mężczyźni młócili zboże ręcznie przy pomocy cepów. Wieczorami zaś spotykali się w jednym domu i do późnych godzin rozmawiali ze sobą, grali w karty i planowali następną dzień.

Z opowieści babci Jakuba Masztalerza z Łochowa

Niniejsza książka jest efektem pracy uczestników Akademii Młodego Obywatela im. Jana Karskiego, autorskiego programu naszej fundacji i składa się z zapisu rozmów przeprowadzonych przez 60 uczniów z Miedniewic, Łochowa i Raciąża z 58 dorosłymi mieszkańcami tych miejscowości.

Rozmowy odbywały się w szczególnym roku, w którym wypada 80 rocznica wybuchu drugiej wojny światowej i 30 rocznica rozpoczęcia demokratycznych przemian w Polsce. To dwie znaczące daty dla wszystkich Polaków. Rok 1939 jest symbolem klęski - załamaniem świata naszych pradziadków, dziadków, rodziców. Rok 1989 dał nam z kolei niepowtarzalną, historyczną szansę na wolność i demokrację w kraju oraz bezpieczeństwo w zjednoczonej Europie.

II wojna światowa w pamięci wszystkich rozmówców, którzy jeszcze ją pamiętają, pozostawiła podobne, negatywne ślady. Wspominają strach, rozstania rodzinne, przesiedlenia, stratę bliskich i straty materialne, a w większości historii także głód. Ten ostatni jawi się jako wyjątkowo dojmujące doświadczenie dla mieszkańców wsi, żyjącym z tego, co sami wyhodują na skrawku własnej ziemi.

Po zakończeniu II wojny światowej, w PRL zwanym „ludową demokracją”, w dalszym ciągu nie czuli się pewnie w swoich gospodarstwach, a ziemia to przecież cały ich świat. To ich miejsce pracy i życia. Jako dzieci, często już od najmłodszych lat pracowali u boku rodziców, opiekowali się zwierzętami, wodę nosili ze studni, a ubrania po starszym rodzeństwie, wieczorami zaś, przy lampie naftowej odrabiali lekcje, zadane im w szkole, do której chodzili pieszo kilka kilometrów w jedną

stronę. Mówią, że „było ciężko”, narzekają na puste sklepy i system kartkowy, na godziny spędzone w kolejkach przed sklepami, a mimo to czas powojenny oceniają pobłażliwie.

Czasem trudno pojąć tolerancyjne reakcje na powojenną rzeczywistość, w której przecież nie odzyskaliśmy niezawisłości państwowej, a Polska została de facto sprowadzona do roli wasala Związku Radzieckiego. Jednak po wojennym, dewastującym doświadczeniu psychicznym, fizycznym, ekonomicznym i społecznym każda odmienna sytuacja mogła być przyjmowana przez niektórych rodaków z ulgą.

Te odczucia pasują do prastarej maksymy Cycerona, który stwierdził, że: *Najbardziej niesprawiedliwy pokój jest lepszy niż najbardziej sprawiedliwa wojna*. W historii bywają sytuacje bez wyjścia i niezależnie od naszych decyzji, nie możemy uniknąć naszego losu, stwierdził kiedyś Jan Karcki, patron fundacji. *Więc tak zapewne miało być, niestety* – stwierdziła jedna z rozmówczyń naszych uczniów.

Z tej perspektywy rok 1989 otworzył przed Polakami ogromne możliwości. Po raz drugi w XX stuleciu, po 1918 roku, otrzymaliśmy szansę zdefiniowania na nowo swojej państwowości. 1989 to granica, od której możemy nieskrępowani budować pożądany przez nas porządek społeczny z własnej, nieprzymuszonej woli. *Teraz żyje się lepiej i łatwiej*, mówią uczniom ich najstarsi rozmówcy, ale zarazem z goryczą postrzegają, że ludzie oddalili się od siebie. *Czy rzeczywiście już nie spotykają się ze sobą w jednym domu, jak kiedyś? Nie rozmawiają ze sobą do późnych godzin, jak dawniej?*

Mamy w tym zbiorze Polskę Raciążan, Miedniewiczan i Łochowian, wychowanych w różnych krajobrazach historycznych, ale pod jednym, tym samym dla wszystkich Polaków, niebem.

Spisane tu opowieści pokazują, że jesteśmy wspólnotą opowieści i wspomnień, wypadkową relacji pomiędzy ludźmi o podobnych, ale jednak niepowtarzalnych doświadczeniach. Łączy nas wszystkich historyczny los, kultura i język.

Z satysfakcją oddajemy więc w Państwa ręce prace uczestników Akademii Młodego Obywatela im. Jana Karckiego, która ma na celu

popularyzację wśród młodzieży postaw prospołecznych. Prowadzimy nasz program opierając się na przekonaniu, że młodzi ludzie doceniają moc pozytywnej inspiracji i że dzięki niej w przyszłości staną się odpowiedzialnymi i zaangażowanymi obywatelami, wrażliwymi na problemy otoczenia, zdolnymi do empatii, szacunku i zrozumienia innych.

Ewa Junczyk-Ziomecka

Prezes Fundacji Edukacyjnej Jana Karckiego

„...jedyne co chciałabym
odzyskać z tamtych czasów
to młodość.”

„...gdy młodzież się razem
bawiła, urządzali sobie
prywatki, grali w piłkę,
czytali razem książki.”

„Ludzie na wsi wpadli
w ogromny popłoch,
gdy zobaczyli wojsko
niemieckie.”

„...urodziła się w 1968r
na saniach w drodze do
szpitala.”

Łochów

„Ale ludzie częściej się spotykali.
Wystarczyło wyjść na drogę i zawsze
było z kim porozmawiać.”

„Pamiętam z tamtych czasów
głównie kolejki i kartki
żywnościowe. W sklepach było
mało jedzenia.”

„...powinniśmy pamiętać
i pielęgnować historię
naszych przodków.”

„najbardziej zapamiętałam,
że sama pasłam krowy, a że
szkoły to, że bili linijką po
rękach.”

A Bug wylewał

Adrian Adamski, klasa VII b
– dziadek Krzysztof Koroś

Urodziłem się w 1955 roku w miejscowości Zalesie, położonej 15 kilometrów od Łochowa i mieszkam tam do dziś.

Do szkoły podstawowej chodziłem w latach sześćdziesiątych, zapamiętałem z niej najbardziej nauczyciela historii, który przekazywał uczniom wiedzę niezgodną z prawdą.

W Zalesiu bywało ciężko, w czasach mojego dzieciństwa na wiosnę bardzo często wylewał Bug i zalewał łąki, pastwiska oraz pola uprawne. To się zmieniło przed 1980 rokiem, kiedy rzekę uregulowano.

Według mnie najlepsze pod każdym względem lata rozpoczęły się w 1970 roku, dużo wtedy inwestowano w zakłady usługowe, a ponieważ wieś się rozwijała, budowano również nowoczesne budynki. Z drugiej strony wiele artykułów było wówczas na kartki¹ i to one najbardziej kojarzą mi się z PRL².

1 Reglamentacja towarów w PRL – w związku z ogromnymi niedoborami towarów w sklepach władze PRL wprowadzały okresowo system zakupu na tzw. „kartki”. Talony te uprawniały do zakupu ściśle określonych ilości poszczególnych towarów. System kartkowy obowiązywał niemal nieprzerwanie w latach 1976-1985.

2 Polska Rzeczpospolita Ludowa (w skrócie: PRL) – oficjalna nazwa państwa polskiego w latach 1952-1989, przypadająca na okres dyktatury komunistycznej (1944-1989), podczas której Polska była niesuwerennym państwem zależnym od Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Chleb z cukrem

Jakub Biernat, klasa VII b

– babcia z Maliszewa

Urodziłam się w połowie lat 50. i mieszkałam w miejscowości Zamienie. Moi rodzice zajmowali się uprawą roli i hodowlą, krów, świń i drobiu. Bywało ciężko. Pamiętam, jak miejscowi ludzie kopali torf, który używali do ogrzewania. Najgorzej wspominam czasy, gdy bieda zagłędała nam w oczy i trzy razy dziennie jedliśmy tę samą postną zupę gotowaną z ziemniaków i zacierek robionych z mąki i wody. Nie była kraszona, po prostu dolewało się do niej mleko. Taką zupę jedliśmy dwa, trzy razy dziennie, ponieważ nie było nic innego do jedzenia. Na deser był czasem namoczony w wodzie chleb z cukrem.

Wędliny były tylko na święta. Ze słodyczy jedliśmy czasem landrynki i ciasto drożdżowe, które było pieczone w domu. O innych rarytasach, takich jak dzisiaj można kupić w sklepie, nie było nawet co marzyć.

Naukę rozpoczęłam w roku 1963 w szkole podstawowej w Zamieniu. Uczyliśmy się historii, geografii, języka polskiego, matematyki, języka rosyjskiego i muzyki, a także wychowania fizycznego. Szkoła była drewniana, a klasy były ogrzewane piecami kaflowymi. W szkole nie było bieżącej wody, pobierano ją ze studni wiadrem przymocowanym do łańcucha, które wyjmowano za pomocą wałka napędzanego korbą. Toalety znajdowały się na placu szkolnym, brakowało też szatni.

Lubiłam chodzić do szkoły, bo wtedy nie musiałam pracować w polu ani pasać krów na łące. Jeśli mieliśmy wolne, to bawiliśmy się podchody, kluskę, w chowanego i w klasy. Zimą zjeżdżaliśmy po śniegu na tornistrach lub po prostu siedząc ześlizgiwaliśmy się z górki.

W PRL życie nie było łatwe. Brakowało pieniędzy na ubrania i żywność. Przed świętami trzeba było iść pieszo do piekarni i stać całą noc w kolejce, aby kupić chleb. Sprzęty domowe były nieosiągalne, chyba że po znajomości. Węgiel był na przydział, aby go kupić trzeba było

stać w kolejce nawet trzy doby. Kursowało niewiele autobusów, którymi mogliśmy dojechać do pracy i do szkoły.

Lekcje religii odbywały się w prywatnych domach na terenie wioski, ponieważ szkoły były za małe. W czasach mojego dzieciństwa nie było elektryczności, więc ludzie musieli radzić sobie bez prądu. Prasowanie odbywało się za pomocą żelazka z duszą¹, którą nagrzewano na ogniu. Izby oświetlano lampami naftowymi. Nie było lodówek, więc kiedy mieliśmy mięso, to trzymaliśmy je w bańkach spuszczonej do studni z wodą, żeby się nie popsło. Aby zaoszczędzić jak najwięcej, moja mama piekła w piecu chleb na liściach chrzanowych.

Starsi wspominali wojnę. To był niewyobrażalny czas. Niemcy każdego ranka przejeżdżali przez wieś i zabierali ludzi do pracy. Wyzaczył ich sołtys. W lesie obok naszej wioski był skład amunicji niemieckiej, który był ogrodzony drutem kolczastym. Pilnowało go tam zawsze dwóch wartowników. Mama opowiadała, że raz latem poszła na jagody do lasu i przeszła pod tymi drutami. Weszła na teren tego składu i nazbierała tam sporo jagód, bo nigdzie więcej ich nie było. Niemcy złapali ją na gorącym uczynku, ale udało się jej ich udobruchać. Kazali jej za to narobić pierogów na kolację. Pierogi tak posmakowały Niemcom, że pozwolili jej przychodzić i zrywać jagody.

Moja miejscowość zmieniła się od czasów dzieciństwa. Wybudowano nową szkołę z dużą salą gimnastyczną i boisko czynne do wieczora. Większość dróg, które były nieprzejezdne, obecnie ma nawierzchnie asfaltowe i chodniki dla pieszych. Niemal w każdym domu jest Internet. Wybudowano też place zabaw dla dzieci i kościół.

Ale tęsknię za niektórymi rzeczami z dawnych czasów, na przykład za zdrowszą żywnością. Za moich czasów była wolna od jakiegokolwiek chemii. Powietrze było czystsze, a rodzice mieli więcej czasu dla swoich dzieci.

¹ Żelazko z duszą – dawne żelazka do prasowania, rozgrzewane gorącą sztabką, tzw. duszą, wkładaną do środka.

Kocham Łochów

Oskar Bobrowicz, klasa VII b

– Bogumiła Kwiatkowska

Urodziłam się w 1955 roku i mieszkałam w małym drewnianym domku we wsi Laski pod Łochowem, tuż obok rzeki Liwiec. Laski były dużą wsią, w której był tylko jeden sklep, a wszyscy mieszkańcy utrzymywali się z rolnictwa. Moi rodzice też prowadzili gospodarstwo rolne, w którym hodowali krowy, świnie, kury. Z tego utrzymywała się cała rodzina. Tata był poza tym szewcem i robił buty.

Jak pamięta pani swoją szkołę?

Poszłam do szkoły mając siedem lat. Najpierw chodziłam do szkoły, która miała dwie małe sale, a w nich kilka ławek. Potem, od klasy trzeciej do ósmej, chodziłam do szkoły w Kamionnej, ale musiałam iść pieszo, bo w szkole nie było ubikacji, mieliśmy drewnianą toaletę na zewnątrz. W tamtym czasie ludzie nie mieli łazienki nawet w domu, bo nie było bieżącej wody. Po szkole podstawowej poszłam do technikum do Sokołowa i zdałam maturę.

Czy pamięta pani swoich nauczycieli?

Uczyłam się na szczęście dobrze i miło wspominam wszystkich nauczycieli, a najbardziej panią wychowawczynię, bo często z nami rozmawiała i wszyscy jej ufaliśmy.

W jaki sposób spędzała pani wolny czas?

Czasu wolnego nie było zbyt dużo, ponieważ tuż po przyjściu ze szkoły do domu trzeba było zmienić ubrania i pomagać rodzicom w gospodarstwie: grabić siano, kopać i zbierać ziemniaki lub pasać krowy i to wszystko do samego wieczora. Dopiero potem odrabialiśmy lekcje, a ponieważ nie było wtedy prądu, odrabialiśmy je przy lampie naftowej. Myliśmy się w miskach, a wodę, żeby była ciepła, grzaliśmy na piecu. Jeśli mieliśmy czas, zazwyczaj w wakacje, dziewczynki grały w gumę, chłopcy zaś brali pogrzebacz i biegli pchając

przed sobą fajerki z pieca¹. Graliśmy w klasy, zbijaka i w dwa ognie. Bardzo lubiłam też kąpanie się latem w Liwcu.

Jakie wydarzenie szczególnie miło pani zapamiętała?

Mam ich sporo. Bardzo utknęło mi w pamięci, jak miałam około jedenastu lat i tata zabrał mnie po raz pierwszy w życiu do Warszawy, na dożynki na Stadionie X-lecia, a drugie moje wspomnienie związane jest z zakupem telewizora przez rodziców. Był czarno-biały i bardzo ciężki, wieczorem schodzili do nas mieszkańcy z niemal połowy wsi, bo jako jedni z pierwszych mieliśmy telewizor i wszyscy oglądali u nas program, dzieci bajkę, która trwała około dziesięciu minut, a dorośli dziennik.

Zapewne pamięta pani też te złe chwile, czy dużo ich było?

Zdarzało się, ale nie tak dużo. Na przykład chodzenie do szkoły – latem było miło, ale trzy kilometry zimą w mróz, przez zasy – to nie było przyjemne, zwłaszcza, że trzeba było wracać tą samą trasą do zimnego zazwyczaj, domu i jeszcze odrabiać lekcje przy lampie naftowej. Nie wyjeżdżaliśmy z rodzicami na wakacje i ciągle trzeba było pomagać w gospodarstwie.

A co wtedy jedliście?

Jedliśmy produkty ze swojego gospodarstwa, mama piekła chleb w piecu, mieliśmy mleko, mięso, owoce, warzywa, jajka. Ciasto mama piekła tylko na święta i choć to było ono takie zwykłe drożdżowe, to wszyscy je zajadaliśmy, bo było pyszne. Nie myśleliśmy o innych słodkościach, bo chociażby czekolada była bardzo droga.

Jak pani wspomina PRL?

Najbardziej pamiętam to, że kiedy zaczęłam już pracować, w sklepach nic nie było, półki były puste, albo stał na nich tylko ocet. Jedzenie było na kartki, których przydział zależał od ilości osób w rodzinie. Za kartki można było kupić mięso i wędlinę, a pieczywo przywożono do jednego sklepu. Kiedy wyszłam za męża, na kartki

1 Fajerki – gra podwórkowa. Fajerki, czyli okrągłe metalowe obręcze do kaflowych pieców, gracze toczyli za pomocą wygiętego drutu od linii startowej do mety narysowanej na ziemi.

kupowałam dzieciom mleko w niebieskim opakowaniu. Ale nie tylko z jedzeniem był problem. Nie można było kupić ubrań, pościeli czy ręczników, a na zakup mebli w Łochowie czekałam w kolejce dwa tygodnie!

Naprawdę?

Tak, utworzono listę, według której jedni stali w dzień, inni w nocy i pilnowali tej kolejki. Poza tym nic nie mogłam kupić swoim dzieciom, dlatego kupowałam, co akurat było.

Wspomniała pani o pracy, jaki pani miała wtedy zawód?

W swoim zawodzie pracuję do dziś, chociaż jestem na emeryturze. Po skończeniu szkoły podstawowej sporo dzieci kończyło edukację w ogóle, ale w wieku 19 lat poszłam jeszcze do technikum, a po maturze rozpoczęłam pracę w Warszawie w laboratorium. Pracuję do dziś, bo bardzo lubię swoją pracę. Obecnie już kilkadziesiąt lat po zamążpójściu mieszkam w samym Łochowie, który bardzo kocham, i z którym jestem związana od dzieciństwa.

Czy jest coś, co chciałaby pani przenieść z tamtych czasów do dzisiejszych?

Tak, bardzo chciałabym aby ludzie znów sami hodowali zwierzęta i chociaż jest to ciężka praca, to człowiek miałby swoje produkty, zdrowe. I może dzieci doceniały bardziej to, co mają? Myślę, że jest im naprawdę dobrze, nie pracują tak jak my kiedyś, a mają wspaniałe zabawki i mnóstwo gadżetów.

A czy pani rodzinna miejscowość bardzo się zmieniła?

Moja wieś jest zupełnie inna. Przynajmniej na ulicy jest asfalt, a obok chodnik, stoją murowane domy, a przy nich piękne ogródki. Jest więcej sklepów. Łochów też staje się coraz piękniejszy i nigdy bym nie chciała mieszkać gdzie indziej, bo ja kocham Łochów.

Z życzliwej wsi

Radostaw Bylak, klasa VII b

– babcia Alicja Bylak

Moja babcia Alicja urodziła się we wrześniu 1939 roku. Jako dziecko mieszkała w wiosce Dąbrowa, niedaleko Łochowa. Była to mała wieś, której mieszkańców zapamiętała jako życzliwych i pomagających sobie nawzajem.

W wieku siedmiu lat poszła do szkoły. Codziennie musiała pokonywać trzy kilometry, aby dotrzeć na lekcje. Szkoła była nieduża, a klasy ciasne, w jednej ławce siedziały nawet cztery osoby. Babcia uczyła się języka polskiego, matematyki, fizyki, chemii, przyrody, gimnastyki i prac ręcznych. Jej ulubionym przedmiotem był język polski.

Nauczyciele byli jednak bardzo surowi. Za złe zachowanie uczniowie byli bici drewnianym piórnikiem w rękę.

Jeżeli miała wolny czas, babcia czytała książki, robiła sweterki na drutach oraz bawiła się z koleżankami, z którymi grała w klasy, w piłkę albo w berka.

Dorośle życie w PRL wspomina poprzez kolejki. Chodziła nawet trzy kilometry do sklepu, gdzie stała w kolejce od rana do południa, aby kupić chleb.

Czas mijał wolniej

Michał Chojecki VII b

– babcia Alicja Chojecka

Babcia Alicja urodziła się w 1943 roku i wychowała w Budziskach koło Łochowa. Nie pamięta wojny, gdyż była wówczas niemowlęciem. Jej tata był bednarzem, robił beczki, a także pracował na roli. Mama opiekowała się nią i jej bratem oraz pomagała mężowi w gospodarstwie. W 1950 roku babcia poszła do szkoły podstawowej (obecnie Szkoła Podstawowa Nr 1 w Łochowie), a następnie do liceum w Łochowie. Szkoła podstawowa, do której chodziła, była drewniana. Obecnie budynek jest wyremontowany i nadal uczą się w nim dzieci. W klasach było wówczas ponad 20 uczniów. Do szkoły podstawowej uczęszczało się wówczas siedem lat. Codziennie trzeba było ubierać się w fartuszek z przyczepioną tarczą – emblematem szkoły. Dzień ucznia wyglądał podobnie jak dzisiaj, z tą różnicą, że po powrocie do domu oprócz odrabiania lekcji i uczenia się, trzeba było również pomagać rodzicom.

Ulubionymi przedmiotami babci była biologia, matematyka i wychowanie fizyczne. Serdecznie wspomina swoją wychowawczynię i nauczycielkę od matematyki, panią Helenę Ziółkowską, która bardzo dobrze tłumaczyła uczniom swój przedmiot.

Po ukończeniu szkoły podstawowej poszła do liceum. Tam również trzeba było nosić beret lub chustkę. Z miejscowości babci chodziło tam niewiele osób, gdyż reszta albo skończyła edukację na szkole podstawowej albo przyuczała się do zawodu. Nauczycielką matematyki była pani Elgas, bardzo wymagająca. Nauczyciele w tamtych czasach mieli ogromny szacunek wśród uczniów. Uczniom nie wolno było malować się ani kręcić włosów. Szczególnie miło babcia wspomina drużynę sportową z liceum, której była członkinią. Na zawody w piłce ręcznej wyjeżdżali do różnych miast. Pamięta zwłaszcza wyjazd do Poznania, ponieważ wzbudzały tam zainteresowanie swoim wyglądem (wszystkie dziewczynki z jej

drużyny ubrane były w granatowe jesionki i białe chustki).

Po liceum babcia poszła do studium w Płocku, gdzie zdobyła zawód nauczyciela biologii i wychowania fizycznego. W zawodzie pracowała do emerytury.

Swoje lata dzieciństwa wspomina bardzo miło. Najbardziej utkwily jej w pamięci wycieczki z rodzicami do Urli nad rzeką Liwiec. Bardzo lubiła jeździć konno. Jej ulubioną potrawą był chleb ze śmietaną i cukrem.

Mimo, że musiała pomagać rodzicom w gospodarstwie, nie było elektryczności i wiele produktów było na kartki, to zawsze znajdowano czas na spotkania z rówieśnikami i rodziną. Czas mijał jakby wolniej. W tamtych czasach dzieci grały w piłkę i bawiły się w chowanego.

W miejscowości, w której się urodziła, zaszły duże zmiany. Drewniane domy pokryte słomą zostały zastąpione murowanymi, brukowane drogi wymieniono na asfaltowe. Zbudowano kościół i budynek straży pożarnej.

Babcia uważa, że mimo, iż czasy PRL były bardzo trudne i nic nie było w sklepach, to jednak ludzie byli bardziej życzliwi i uprzejmi względem siebie. Nie było tyle zawiści i myślenia wyłącznie o sobie. W obecnych czasach, mimo iż mamy więcej możliwości i dostępu do wszystkiego, ludzie zapominają o innych, stają się sobie obcy. I dlatego babcia uważa, a ja się z nią zgadzam, iż powinniśmy pamiętać i pielęgnować historię naszych przodków.

Dziadek łasuch

Filip Denis, klasa VII b

– babcia Bogumiła Reluga

Moja babcia czasy PRL wspomina bardzo smutno – artykuły spożywcze i chemiczne były na kartki, w sklepach były puste półki, a jeżeli pojawiło się w nich cokolwiek, ludzie zbiegali się przed sklep i stali w bardzo długiej kolejce po zakupy. Mięso, również na kartki, było raz w tygodniu. W pociągach był tłok, nie było też autobusów. Kiedyś jej mama czekała na stacji na pociąg od trzeciej rano przez dwie godziny. To dlatego, że nie miała zegara i nie wiedziała, o której powinna wyjść z domu, żeby zdążyć na pociąg. Po tym zdarzeniu kupiła zegar z pierwszej wypłaty, którą dostała.

Babcia pamięta też, jak raz w szkole pod choinkę dostała słodycze i poszła odłożyć je do domu dziadków, którzy mieszkali nieopodal. Po powrocie ze szkoły okazało się jednak, że jej dziadek zjadł słodycze. Wydaje mi się, że było jej przykro.

Dzieci musiały też pracować w polu. Ale, z drugiej strony, ludzie częściej się spotykali. Wystarczyło wyjść na drogę i zawsze było z kim porozmawiać.

Z Zieleńca do Łochowa

Natalia Denis, klasa VII b

– ciocia Janina Wyszyńska

Moja ciocia Janina Wyszyńska urodziła się w 1945 roku w Zieleńcu, niewielkiej wsi w gminie Sadowne graniczącą od południa i zachodu z rzeką Ugosz, od wschodu z linią kolejową Warszawa-Białystok, a od północy z Puszcą Białą. Rodzice cioci posiadali niewielkie gospodarstwo rolne, którym zajmowała się głównie jej mama, bo tata dorabiał jako cieśla w Warszawie. Ciocia bardzo dobrze wspomina swoje dzieciństwo, które było ubogie, ale zarazem wesołe i radosne.

W latach 60 i 70 aktywność dzieci i młodzieży koncentrowała się wokół szkoły i „Klubu Rolnika”. Imprezy kulturalne były organizowane przez Związek Młodzieży Wiejskiej, były to różnego rodzaju zabawy, przedstawienia, pokazy filmowe, a nawet występy młodzieżowego zespołu muzycznego. Chodź wioska liczyła niewielu mieszkańców, to ludzie byli bardzo życzliwi i pomagali sobie. Kiedyś sąsiadom cioci spalił się dom i wszyscy mieszkańcy pomogli im go odbudować. Mówi, że ludzie wtedy byli towarzyscy i uprzejmi.

W tamtych czasach dzieci również pracowały, musiały pomagać w polu lub zbierać runo leśne. Ciocia po raz pierwszy poszła do szkoły w 1952 roku. Jej ulubionymi przedmiotami były geografia, historia oraz wychowanie muzyczne. Po ukończeniu szkoły podstawowej udała się do liceum ogólnokształcącego w Sadownem. Następnie ukończyła kwalifikacje pedagogiczne w Studium Pedagogicznym w Radzyminie i w 1963 roku rozpoczęła pracę jako nauczycielka w szkole podstawowej w Zieleńcu, następnie w Lipkach, a potem w Sadownem. W szkole podstawowej w Sadownem pracowała aż do przejścia na emeryturę w 2003 roku. Obecnie mieszka w Łochowie.

Tak się schował, że zasnął

Paulina Denis, klasa VII b
– dziadek Henryk Wyszyński

Postanowiłem przedstawić historię mojego dziadka, ponieważ uważam, że jest mądrym człowiekiem i darzę go ogromnym szacunkiem.

Dziadek Henryk urodził się 1946 roku w Brzuzie niedaleko Łochowa. Jest to niewielka wioska nad Bugiem. Rodzice dziadka prowadzili gospodarstwo rolne i z niego się utrzymywali. W 1953 roku dziadek zaczął chodzić do szkoły podstawowej w Brzuzie. W tamtych czasach w szkole było siedem klas.

Pomagał też rodzicom w gospodarstwie – pracował w polu oraz past krowy. Ludzie w tamtych czasach uprawiali pola, gdyż owoce i warzywa nie były dostępne w sklepach. Trudno było cokolwiek dostać, gdyż żywność była na kartki, a sklepów było bardzo mało. Po szkole podstawowej dziadek poszedł do zawodowej, gdzie uczył się na ślusarza spawacza. Jego ulubionym przedmiotem była matematyka, której uczyła bardzo miła i sympatyczna pani Krystyna Wójcik. W dorosłym życiu pracował jako elektromonter i często jeździł po Polsce.

Uwielbia opowiadać o swoim dzieciństwie, o tym jak spotykali się z kolegami i koleżankami po południu, po zajęciach szkolnych i grali w klasy. Gra polegała na tym, że rysowano kredą na ziemi siedem kwadratów i jedno kółko na ich szczycie, a następnie dzieci skakały po całej trasie w odpowiedniej kolejności. Najpierw trzeba było za pomocą kamienia trafić na pole, na które chciało się dotrzeć. Bardzo często również bawili się chowanego. Dziadek mile to wspomina, ponieważ raz tak dobrze się schował, że go nie znaleźli i zasnął w swojej kryjówce.

Twierdzi że cieszy się, że miał właśnie takie dzieciństwo i nie zamieniłby go na obecne czasy, w których króluje Internet, a młodzież wpatrzona jest w telefony. Choć żyli biednie, często nie mieli co jeść, to darzyli się wielką miłością i życzliwością oraz szacunkiem.

Nie było światła, były kartki

Eliza Gajewska, klasa VII b
– Irena Stępień

Nazywam się Irena Stępień i urodziłam się w 1939 roku. Mieszkam w Łochowie, lecz wychowywałam się w Jasierówce. Moja mama pracowała w gospodarstwie, a tata w składzie drewna.

Z zabaw w dzieciństwie pamiętam, że raz bawiąc się w chowanego schowałam się tak dobrze, że inni nie mogli mnie znaleźć, a ja zdążyłam zasnąć. Moją kryjówką był kopiec po kartoflach na polu.

Gdy miałam siedem lat po raz pierwszy poszłam do szkoły, a moimi ulubionymi przedmiotami były język polski, przyroda i rysunek który bardzo dobrze mi wychodził. Nauczyciele byli miejscowi, wszyscy bardzo wymagający, ale dzięki temu wiele nas nauczyli. Relacja z nauczycielami była całkowicie inna niż dziś. Kiedyś nauczyciel miał prawo krzyknąć, czy w inny sposób ukarać ucznia.

W życiu dorosłym pracowałam jako brakierka¹, a jedyne co pamiętam z czasów wojennych, to jak wraz z sąsiadami chowałam się do betonowego kopca podczas nalotu Niemców, którzy szukali mężczyzn do pracy. Chcieli zabrać mojego tatusia, lecz on schował się w piwnicy, w której trzymaliśmy ziemniaki.

Za czasów PRL wszystko było trudne, lecz ogromnym ułatwieniem była dla mnie znajomość ze sprzedawczynią ze sklepu, która często podawała mi towar bez kolejki, chodziłam po niego na tył sklepu.

Światło założono nam dopiero w 1962 roku. Wszyscy wtedy żyli skromnie i pomagali sobie wzajemnie. Nasz relacje z sąsiadami były bardzo dobre. Każdy był ze sobą bardzo zżyty.

W Łochowie dużo się zmieniło, mamy piękne ulice, place i parki.

¹ Brakier, „sprawdzacz” jakości roboty u rzemieślników; (źródło: „Słownik słownictwa rzemiosł skórzanych”).

Wszystko jest na miejscu i już nie trzeba jeździć do Warszawy na większe zakupy, a jedyne co chciałabym odzyskać z tamtych czasów to młodość, którą wtedy mogłam się cieszyć.

Romet Mesko

Radostaw Garwoliński, klasa VII b
– dziadek Wincenty Gałązka

Urodziłem się we wsi Majdan koło Łochowa zimą 1954 r. i pamiętam, że od małego musiałem bardzo ciężko pracować. Moja mama zajmowała się domem, pilnowała dzieci i gospodarstwa. Tata był dozorcą w Warszawie, a w czasie wolnym też pracował w polu.

Wychowałem się i dorastałem w PRL, z którego pamiętam głównie kolejki i kartki żywnościowe. W sklepach było mało jedzenia.

Do szkoły podstawowej poszedłem w 1961 roku. Wspominam ją pozytywnie, ponieważ mogłem grać w piłkę nożną, co dawało mi dużo radości. Z przedmiotów najbardziej lubiłem przyrodę, ponieważ kochałem kontakt z naturą. Nauczycieli już niestety nie pamiętam.

Wracam czasem pamięcią do naszych dziecięcych zabaw. Zimą na zamrzniętym bagnie koledzy jeździli na rowerach i na sankach. W lecie na łąkach graliśmy w palanta i podchody.

Pamiętam też, jak zarobiłem pieniądze i kupiłem do kolegi z klasy swój pierwszy rower. To był czerwony Romet Mesko, który kosztował mnie 50 zł – pracowałem na niego około tygodnia zbierając owoce leśne. Nie wszyscy mieli wówczas rowery, niektórzy nie mieli nawet możliwości nauczyć się jeździć. Na swoją pierwszą wycieczkę wybrałem się do miasta na lody.

Zawodu murarza, z którego dawałem utrzymanie całej rodzinie, nauczyła mnie szkoła zawodowa. Czasy, kiedy podjąłem pracę w swoim zawodzie w najlepszej firmie budowlanej w Warszawie, wspominam najlepiej.

Droga do szkoły

Mateusz Kądziała, klasa VII b

– babcia Danuta Rogala

Urodziłam się na początku lat 50. Mieszkałam we wsi Jasiorówka, a do Łochowa przeprowadziliśmy się, kiedy miałam jedenaście lat.

Czym zajmowali się twoi rodzice?

Moja mama zajmowała się wychowaniem dzieci i domem, a tata pracował w Gminnej Spółdzielni *Samopomoc Chłopska* w Łochowie, gdzie jako magazynier zajmował się skupowaniem zboża od rolników. Moi rodzice prowadzili gospodarstwo rolne, lecz nie sprzedawali swoich zbiorów, ponieważ nie było to dla nich opłacalne. To, co wyhodowali było źródłem utrzymania naszej rodziny.

Jakie masz babciu masz wspomnienia ze swojej miejscowości?

W Jasiorówce nie mieliśmy światła, nie było radia, telewizora, telefonu. Lekcje odrabialiśmy przy lampie naftowej, mieliśmy w domu jedną. Dzieciom nie było wolno jej zapalać, ponieważ było to niebezpieczne. U innych było podobnie, ale pomimo tego dzieci były zadowolone, chętnie spędzały czas na wspólnych zabawach, jak skakanie na gumie, grę w podchody, w klasy, w piłkę.

Czy słyszałaś opowieści o wojnie od dorosłych?

Będąc dzieckiem wielokrotnie słuchałam opowiadań moich rodziców o wojnie. Mój tata był ochotnikiem i wziął udział w obronie Polski, podczas której został ranny i znalazł się w szpitalu w Siedlcach. Po wojnie został odznaczony. Moja mama jako nastoletnie dziecko wielokrotnie ukrywała się w bagnach, aby nie dać się wywieźć na roboty do Niemiec. Po tych opowieściach byłam wdzięczna, że żyłam w spokojnych czasach, mogłam chodzić do szkoły, cieszyć się życiem, a jednocześnie współczułam rodzicom w jak trudnych i dramatycznych okolicznościach przyszło im żyć.

Jak zapamiętałaś swoją szkołę?

Uczęszczałam do szkoły nr 1 na Wymysłach. Chodziłam do niej na piechotę, codziennie przemierzając cztery kilometry, ale robiłam to z radością. Nie zastanawiałam się, czy to jest dla mnie męczące, ponieważ wszyscy wtedy chodzili na piechotę, nie było innych środków transportu.

Za moich czasów zimy były śnieżne i mroźne. Pewnego dnia wracając z koleżankami ze szkoły zaszyliśmy do jednej z nich, żeby się ogrzać. Straciłam poczucie czasu, a w tym czasie moja zaniepokojona babcia zaczęła mnie szukać po wsi, bo nie miałam żadnych możliwości poinformowania jej, gdzie jestem.

Szkoła była drewniana, toalety były na zewnątrz, nie było centralnego ogrzewania, jego rolę pełniły piece kaflowe. Na klasę przypadało około czterdziestu uczniów. W szkole były obiady, a po zakończeniu lekcji mogliśmy pójść do świetlicy, w której mogliśmy odrabiać lekcje pod okiem nauczyciela dyżurującego, który w razie problemów z zadaniem udzielał nam pomocy.

Czy pamiętasz babciu swoich nauczycieli?

Pamiętam, pomimo, że byli bardzo wymagający, byli dla nas autorytetami. Do dzisiaj niektórych z nich spotykam i odnoszę się do nich z wielkim szacunkiem. W pamięci utkwiała mi nauczycielka od matematyki, która była bardzo wymagająca. Twierdziła, że ona matematyki „na piątkę nie umie”, a co dopiero uczeń.

Czym zajmowałaś się w dorosłym życiu?

Po ukończeniu liceum zatrudniłam się w Gminnej Spółdzielni *Samopomoc Chłopska* jako księgową. Jeszcze później, mając już dwadzieścia lat stażu, podjęłam pracę w Zakładzie Gospodarki Komunalnej w Łochowie.

Łochów od tego czasu bardzo się rozbudował, powstały nowe drogi i ulice, pola zamieniły się w osiedla. Rozwinęła się infrastruktura, dzięki czemu przybywali nowi mieszkańcy, co prowadziło do otrzymania praw miejskich w 1968 roku.

Ziemniaki w mundurkach

Kacper Kopania, klasa VII b

– Marianna Kietczykowska

Urodziłam się w Darłowie, ale w 1956 roku moja rodzina przeniosiła się do Łochowa. W tym samym roku poszłam do szkoły podstawowej, a dodatkowo uczęszczałam na lekcje baletu. Moja mama była księgową w urzędzie miasta i gminy, a tata kierownikiem budowlanym.

PRL jawi mi się jako długie kolejki w sklepach, puste półki i towary na kartki, ale poza tym moje dzieciństwo było udane i nie mam złych wspomnień. Najwięcej czasu spędzaliśmy na dworze, gdzie bawiliśmy się w „zbijaka”, graliśmy w piłkę, a zimą jeździliśmy na sankach i budowaliśmy igloo.

W szkole najbardziej lubiłam rysunek, śpiew i wychowanie fizyczne. Z nauczycieli najbardziej utkwiała mi w pamięci prof. Dominika, która uczyła geografii i prof. Jerzy Golec, polonistę.

Najlepszym przysmakiem mojego dzieciństwa były ziemniaki w mundurkach ze śledziem, oraz chleb pomoczony wodą i posypany cukrem.

Wojnę pamiętam

Alan Krzyżewski, klasa VII b

– Helena Gawrych

Nazywam się Helena Gawrych, urodziłam się w 1940 roku. Mieszkałam we wsi Kamionna koło Łochowa, w której chodziłam do szkoły podstawowej. Moim ulubionym przedmiotem była matematyka, biologia i język polski. Po szkole najczęściej graliśmy w piłkę i bawiliśmy się w chowanego.

Moi rodzice pracowali dorywczo u bogatszych gospodarzy, którzy potrzebowali pomocy np. przy wykopkach i innych pracach polowych. Zapłatą za wykonaną pracę były ziemniaki i inne warzywa.

Najdalej sięgam pamięcią do ostatniego roku wojny. Byłam wtedy małą dziewczynką. Widzę Niemców w mundurach, którzy podpalają domy i stodoły, zabierają gospodarzom krowy, świnie i konie, pozbawiając ich tym samym środków do życia. Czuję też strach dorosłych. Chcąc uchronić się przed spadającymi bombami rodzice wraz z dziadkami kopali w ziemi okopy.

Pamiętam też inne wydarzenie, jak bardzo ładna Żydówka o imieniu Kurchynka, uciekając przed Niemcami, wpadła jedną nogą do okopu. Na szczęście nic poważnego się jej nie stało, tylko sama nie mogła się oswobodzić, bo była wyczerpana ucieczką. Dziadek pomógł jej się wydostać. Po kilku dniach mama, żeby nas nie narażać, dała jej polskie dokumenty, gdyż jako Polka ta dziewczyna miała większe szanse na przeżycie.

Plany na jutro

Jakub Masztalerz VII b

– babcia Jadwiga Wyszyńska

Babcia Jadzia urodziła się w 1944 roku w Brańszczyku, ale mieszkała we wsi Turzyn, gdzie jej rodzice prowadzili gospodarstwo rolne. W 1951 roku poszła do pierwszej klasy szkoły podstawowej, którą wspomina bardzo dobrze. Brała udział w różnych przedstawieniach szkolnych, a dzieci organizowały loterie, na które same robiły fanty. Po szkole pomagała rodzicom w gospodarstwie.

Czas wolny spędzała z rówieśnikami. Dzieci same wymyślały zabawy, na przykład bawiły się w podchody, grały w palanta, w klasy i inne zabawy na powietrzu. Po szkole podstawowej babcia poszła do szkoły rolniczej, a po jej ukończeniu pomagała rodzicom w gospodarstwie. W wieku dwudziestu lat wyszła za mąż i wyprowadziła się z domu rodzinnego. W 1974 roku kupiła z dziadkiem własne gospodarstwo w Zawiszynie. Był to okres PRL, ludziom żyło się biednie, a w sklepach brakowało wszystkiego. Ludzie jednak byli wobec siebie życzliwi, częściej się spotykali i pomagali sobie. Sąsiedzi odwiedzali się i każdy mógł liczyć na ich pomoc.

W czasach dzisiejszych babci nie podoba się to, że dorośli coraz mniej czasu poświęcają dzieciom, a większość poświęcają na pracę i zarabianie pieniędzy. Dzieci w tym czasie wychowują się same. Swoje dzieciństwo babcia wspomina dobrze, pomimo, że były to czasy powojenne i każdy żył biednie.

Dzieci po przyjściu ze szkoły przebierały się i pomagały rodzicom. Latem była to praca w polu, między innymi podczas żniw robiły pasy ze słomy, ustawiały snopki zboża, zbierały ziemniaki na polu oraz pasły krowy. Zimą była to praca w gospodarstwie, odśnieżanie podwórka, noszenie drewna do palenia w kuchni.

Babcia uważa, że dawniej dzieci okazywały rodzicom większy

szacunek, bo byłem im posłuszne. Rodzice nie musieli powtarzać dwa razy, aby coś, o co prosili, było zrobione. Natomiast dzieci cieszyły się z najdrobniejszych rzeczy, jak choćby słodycze lub pomarańcze na święta. Ubrania nowe były kupowane bardzo rzadko, najczęściej noszono je po starszym rodzeństwie. Sąsiedzi również pomagali sobie nawzajem. Kiedyś nie było maszyn, więc większość prac wykonywano ręcznie lub przy pomocy konia, jeżeli ktoś go miał. Dlatego podczas żniw lub wykoppek, sąsiedzi chodzili jeden do drugiego i wspólnie pracowali na polu.

Całą jesień mężczyźni młócili zboże ręcznie, przy pomocy cepów. Wieczorami zaś spotykali się w jednym domu i do późnych godzin rozmawiali ze sobą, grali w karty i planowali następny dzień. W tamtych czasach wszyscy żyli biednie, ale nie było zawiści i zazdrości między sąsiadami. Nie było telewizorów, dlatego większość wolnego czasu sąsiedzi spędzali na wspólnych rozmowach. Były również organizowane różnego rodzaju zabawy, na których cała wieś bawiła się do białego rana. Ludzie umieli cieszyć się z małych rzeczy i byli bardziej otwarci na drugiego człowieka niż teraz.

Samą wojnę pamięta tylko z opowiadań rodziców. Musieli oni uciekać przed Niemcami do lasu. Zostawili dom, zwierzęta i cały dobytek. Dom został spalony i wszystko trzeba było zaczynać od początku. Mimo to byli szczęśliwi, że przeżyli wojnę i wszyscy wrócili do swojej miejscowości, gdzie zaczęli odbudowę i przyzwyczajali się do nowej rzeczywistości.

Na wysokiej wiśni

Alicja Murawska, klasa VII b

– Daniela Krasowska

Przysłałam na świat w 1941 roku i mieszkałam w Nowych Budziskach niedaleko Leśniczówki. Mama zajmowała się domem i wychowaniem dzieci, a tata pracował w państwowej firmie, która budowała pierwsze po wojnie drogi.

Kiedy miałam trzy lata na tereny Polski weszło wojsko radzieckie. Zapamiętałam taki obrazek: żołnierze rosyjscy siedzący za murem z worków z piaskiem i obserwujący drogę. Często tędy przechodziłam, dlatego byli dla mnie bardzo mili, a od jednego dostałam nawet sucharka.

W 1948 roku rozpoczęłam pierwszą klasę szkoły podstawowej. Ze szkoły najbardziej utkwiła mi w pamięci pani Weinert, polonistka, uwielbianą przez wszystkich uczniów z klasy. Na przerwach bawiliśmy się w różne zabawy, jak choćby w chowanego w niewielkim lasku niedaleko szkoły.

Najlepiej wspominam czasy, gdy byłam jeszcze dzieckiem, bo należałam wtedy do chóru i teatru kukietkowego, do którego bardzo lubiłam chodzić. Musiałam jednak do niego dojeżdżać, ponieważ był on oddalony od mojej miejscowości. Chodziło tam około dwunastu osób, a spotykaliśmy się co tydzień w soboty. Uczęszczałam tam od pierwszej do szóstej klasy szkoły podstawowej. Byłam zauroczona grą aktorską.

Bawiliśmy się z Krysią, Asią i Heńkiem. Chodziliśmy do lasu, opowiadaliśmy sobie żarty, a Heniek grał na akordeonie. Pamiętam też wysokie wiśnie, na które się wspinaliśmy, a potem bujaliśmy na gałęziach i podjadaliśmy owoce.

PRL kojarzy mi się zaś z długimi kolejkami i pustymi półkami w sklepach.

Dobrego nauczyciela pamięta się całe życie

Dawid Oniszk, klasa VII b

– Hanna Wójcik

Urodziłam się w 1962 r. i wychowałam na wsi. Mój ojciec pracował w fabryce jako wykwalifikowany spawacz, a mama wychowywała trójkę dzieci i jednocześnie zajmowała się małym gospodarstwem rolnym.

W 1969 r. rozpoczęłam naukę w szkole podstawowej w dużej drewnianej szkole z wielką murowaną przybudówką i dużym boiskiem do gry w piłkę nożną i siatkówkę. Przez środek szkoły przechodził długi wąski korytarz, na którego ścianach po obu stronach wisały na haczykach wierzchnie ubrania uczniów. Przerwy pomiędzy lekcjami spędzaliśmy na zewnątrz budynku. Graliśmy w klasy, „chłopka”, piłkę nożną, siatkówkę, zbijaka, berka, skakaliśmy na gumie, skakance, bawiliśmy się w chowanego. Do szkoły uczęszczały również dzieci z sąsiednich miejscowości, a także nieco bardziej oddalonych. Większość dzieci, w tym ja, przychodziła do szkoły pieszo. Tylko niektóre z odległych miejscowości przyjeżdżały rowerami. W szkole najbardziej lubiłam język rosyjski, chemię, biologię, geografę i matematykę. Doskonale pamiętam wszystkich nauczycieli i wielu z nich mile wspominam, a zwłaszcza nauczycielkę biologii i chemii. Była miła, wyrozumiała i cierpliwa, czym zyskała sobie sympatię uczniów. Sprawiedliwie oceniała postępy w nauce i doceniała wysiłek włożony w opanowanie materiału przez ucznia. Pomagała tym, którzy sobie nie radzili, często kosztem własnego czasu. Bardzo ciekawie i zrozumiale tłumaczyła swoje przedmioty. Była przykładem dobrego nauczyciela.

W szkole nie było stołówki ani posiłków. Jedynie w okresie zimy dostawaliśmy szklanek gorącego mleka i kawałek bułki.

Po skończonych lekcjach spotykaliśmy się na łące i bawiliśmy się

według własnych pomysłów. Nie było tylu zabawek, co obecnie, a rower na komunię uchodził już za ogromny prezent.

Nie jedliśmy tak różnorodnie jak dzisiaj, bo w sklepach nie było takiego wyboru. Pomarańcze jedliśmy tylko w Boże Narodzenie. Często posiłkiem był chleb ze smalcem i pomidorem, albo ziemniaki z zsiadłym mlekiem, a zamiast stodyczy chleb z cukrem polany śmietaną.

Do czasów obecnych chciałabym przenieść tzw. „Niewidzialną rękę”. Była to akcja polegająca na tym, że dzieci pomagały osobom starszym w różnych codziennych sytuacjach np. przynosiły węgiel lub wodę ze studni, ale tak, żeby osoba, której pomagają, nie wiedziała kto jej pomógł. Zostawiano jej tylko na kartce ślad odcisniętej dłoni. Sama brałam udział w takiej akcji. Pamiętam mieszkającą nieopodal starszą panią, która stale chodziła do pobliskiego lasu zbierać gałęzie na opał. Wówczas z moimi rówieśnikami postanowiliśmy przez kilka dni zbierać dla niej chrust, a następnie podczas jej nieobecności dostarczyć pod jej dom.

Młdzież zainspirowała się to akcją i zaczęła zwracać uwagę również na pomaganie sobie nawzajem. Młodzi zaczęli wykonywać dla siebie dobre uczynki, byli uczynni i zapominali o sprawianiu sobie przykrości.

Tańce na deptaku

Magdalena Osemka, klasa VII b

– babcia Elżbieta Stryjek

Moja babcia w połowie lat pięćdziesiątych rozpoczęła naukę w Szkole Podstawowej nr 1 w Międzyzlesiu. Najbardziej lubiła uczyć się matematyki oraz języka polskiego. Obowiązkowym językiem obcym był rosyjski. Przy szkole aktywnie działała drużyna harcerska, do której babcia należała. Była nawet zastępcą drużynowego.

Młdzież w tamtych czasach oprócz nauki miała wiele obowiązków związanych z pracą w gospodarstwie, jednak zawsze znajdowała czas na zabawę z kolegami i koleżankami w berka, czy w dwa ognie. Babcia bardzo lubiła również chodzić z przyjaciółmi na spacer nad rzekę Liwiec.

Ówczesną formą rozrywki były też zabawy taneczne, które odbywały się na świeżym powietrzu, na deptaku lub w remizie strażackiej. Muzyka grana była na żywo, najczęściej na harmonii, trąbce i bębnie.

Gdy babcia była dzieckiem, nikt w domu nie miał telefonu. Jedyny aparat znajdował się na poczcie w Ugoszczy. Pierwszy telefon babcia kupiła w 1997 roku, kiedy była już dorosła i miała własną rodzinę. W jej domu rodzinnym również bardzo długo nie było pralki. Ubrania prano ręcznie, a wodę trzeba było wydobyć ze studni. Pierwsza pralkę wirnikową, „Franię”, babcia zakupiła w 1973 roku.

Ulubioną kanapką dzieci w tamtych czasach była kromka chleba z wodą lub śmietaną i cukrem. Na obiad najczęściej była zupa lub kapusta. Mięso jedli tylko od święta.

W życiu dorosłym babcia pracowała jako fryzjer męski. W 1968 roku założyła rodzinę i przeprowadziła się do Łochowa, gdzie mieszka do dziś. Zatrudniła się w przychodni lekarskiej, w której pracowała do emerytury.

Czasy PRL-u wspomina jako trudne. Większość rzeczy można było nabyć tylko za kartki żywnościowe. Często stało się w bardzo długich kolejkach i niejedną raz wracało bez zakupów, bo produktów w sklepie

nie starczyło dla wszystkich. Pewnego razu babcia pojechała na zakupy do Warszawy. Niestety, ktoś ukradł jej portfel, w którym miała wszystkie kartki i wróciła do domu z niczym. Rodzina liczyła sześć osób, w tym czwórkę dzieci, więc ciężko było przeżyć miesiąc bez cukru, mięsa.

We wsi, w której się urodziła i wychowała, mieszka coraz mniej ludzi. Młodzi uciekają do miast.

Lubił muzykę, grał na gitarze

Zuzanna Pełka, klasa VII b

– pan Wojciech Jeger

Pan Wojciech urodził się pod koniec lat czterdziestych. Mieszkał w Barchowie w drewnianym domu z najbliższą rodziną. Jego mama zajmowała się dziećmi i gospodarstwem, a tata działał w straży pożarnej. Do szkoły uczęszczał w Barchowie, gdzie klasy były łączone, niestety budynki tej szkoły już nie istnieje. Codziennie rano przed wyjściem do szkoły ubierał granatowy fartuch z kołnierzem.

Pamięta, że jego pierwszy tornister był z twardej tektury.

Jego ulubionymi nauczycielami było małżeństwo w średnim wieku: pani od historii i pan od geografii. Pan od geografii nie dosłyszał od czasów wojny. Opowiadał dzieciom, że został uderzony karabinem przez niemieckiego żołnierza i ledwo uszedł z życiem.

Z dzieciństwa najbardziej pamięta, jak zakładano słupy elektryczne w okolicy¹ oraz zabawy nad rzeką Liwiec. Do starszych klas chodził do szkoły w Łochowie. Bardzo lubił muzykę, nauczył się gry na gitarze, dzięki czemu jako młody chłopak grał na weselach i zabawach wraz ze swoim kolegą Tadeuszem. Chociaż nie byli bardzo znani, to mieli swoich wiernych wielbicieli.

Tamte czasy wspomina mile, choć było ciężko, brakowało produktów w sklepach, ludzie stali w kolejkach. Na potrawy świąteczne czekali przez cały rok, być może dlatego tak bardzo im smakowały? Uważa, że teraz dostęp do wszystkiego jest bardzo łatwy – sklepy są pełne produktów, zabawek i słodyczy. Za to kiedyś – uważa pan Wojciech – ludzie byli życzliwsi, pomagali sobie, a rodziny spotykały się ze sobą. Zauważa, że dzisiaj coraz częściej spotkania zastępuje się smsem albo e-mailem. Dlatego czasy swojego dzieciństwa i młodości wspomina z sentymentem.

¹ Po II wojnie światowej 90 procent polskich wsi nie miało elektryczności.

Ślady świętego Mikołaja

Antonina Prochacka, klasa VII b

– mama Renata Prochacka

Co najbardziej wspominasz z dzieciństwa?

Najbardziej wspominam rzekę Liwiec, ponieważ tam spędziłam najmiłsze dni mojego dzieciństwa. Z innymi dziećmi często graliśmy w piłkę na ulicy, ogórka, kwadraty, cegietki czy w chowanego.

Najlepiej wspominam okres wakacyjny, który spędzałam z kolegami z sąsiedztwa i nasze wieczorne zabawy. Bardzo dobrze wspominam też harcerstwo i biwaki. Źle było mi zimą, a to z tego powodu, iż ubrania były przekazywane z pokolenia na pokolenie i trochę znoszone nie chroniły dobrze przed zimą. Bardzo łatwo można było zmarznąć i zachorować.

W którym roku poszłaś do szkoły?

Poszłam do szkoły w 1979 roku. Zapamiętałam, że w szkole były kaflowe piece na węgiel i drzewo, w których co rano musiała napalić pani woźna. Pamiętam skrzypiącą podłogę i porwane linoleum, a także lodowisko zimą i stołówkę pod schodami.

Nauczane przedmioty były takie same jak teraz, z tą różnicą, że uczyliśmy się jeszcze rosyjskiego. Najbardziej lubiłam w-f.

Pamiętam pewną panią nauczycielkę, której się bardzo bałam. Uczyła nas geografii, miała srogi wzrok, nosiła okulary, a w ręku wskazówkę do mapy.

Jakie wydarzenie z dzieciństwa utkwło ci w pamięci?

Najbardziej wspominam wydarzenie z Bożego Narodzenia, kiedy z całą rodziną poszliśmy na piechotę z Łochowa na Starowolę na wieś, gdzie mieszkała moja babcia. Tam, w małej chatce, gdzie były jedynie dwa pokoje, siedzieliśmy przy stole wigilijnym ledwie się mieszcząc, ponieważ było tam aż trzydzieści osób. Gdy wszyscy byliśmy w środku szczekanie psów oznajmiło przyjście św. Mikołaja.

Gdy wyszliśmy z domu na środku podwórka leżał wór z prezentami. Na śniegu nie było żadnych śladów stóp, bo wszyscy byliśmy w domu, a do najbliższej chatki było trzysta metrów, wokół las i pola. Do dzisiaj jest zagadką, skąd wziął się worek z prezentami na środku podwórka?

Jak zapamiętałaś czasy PRL?

Pamiętam kartki na żywność i buty, bardzo długie kolejki, pustki w sklepach. Zabawki, zamiast kolorowych, były szare. Mając gotówkę nie można było nic kupić, ponieważ niczego nie było. Gigantyczne kolejki po meble czy sprzęt AGD i zapisy, kto za kim stał w kolejce.

Co z tamtych czasów przeniostaś do obecnych?

Przeniostałabym gumę balonową Donald. W każdej gumie znajdowała się historyjka obrazkowa, którą kolekcjonowaliśmy.

Czy twoim zdaniem młodość jest teraz bierna?

Moim zdaniem młodość spędza za mało czasu na świeżym powietrzu, słabo się integruje z rówieśnikami i woli pisać SMS zamiast się spotkać.

Najgorsze było pranie zimą

Eliza Reluga, klasa VII b

– pani Antonina Powierża

Urodziłam się w 1933 roku w miejscowości Przychodki koło Hajnówki. Miałam trójkę rodzeństwa, którym zajmowała się mama, mój tata był gajowym. Wybuch II wojny światowej znam tylko z opowiadań mamy. Wojna zmusiła nas do wyjechania z rodzinnej miejscowości, udaliśmy się do Małkini (miasto niedaleko Łochowa). Niedaleko tego miasteczka była granica niemiecko-radziecka. Przebywaliśmy tam trzy dni, z tym, że część z nas po jednej, a część po drugiej stronie granicy. Mamie w jakiś sposób udało się przewieźć rodzinę na teren okupowany przez Niemców w okolice Broku. Następnie jakiś dobry człowiek przewiózł nas wozem konnym do Brzuzy (sporej wsi koło Łochowa) i tutaj rozpoczęło się nasze życie. Mój ojciec rozpoczął pracę w Jerzyskach, dzięki temu zamieszkaliśmy w gajówce i mieliśmy też kawałek pola do uprawy. Brzuza była długą wsią i ciężko się po niej chodziło, ponieważ droga przez wieś była bardzo piaszczysta. W domach nie było światła, a konie ciągnęły wozy o żelaznych kołach.

Było tu bardzo ciężko. Kiedy byłam dzieckiem chodziłam do szkoły w Brzuzie. Były w niej cztery klasy, ale ja skończyłam tylko trzy. Dobrze wspominałam swoją szkołę. Uczyliśmy się pisać obsadką i atramentem. Nauczyciele byli dobrzy, bardzo starali się nas czegoś nauczyć. Pamiętam jeszcze panią Biernat i panią Żółkowską. W szkole uczyliśmy się języka polskiego, rachunków, czyli matematyki, przyrody oraz religii. Najbardziej z tych wszystkich przedmiotów lubiłam rachunki. Uczniowie wymieniali się także książkami. Najgorszym wspomnieniem z dzieciństwa jest dla mnie śmierć mojego ojca pod koniec wojny. Zabili go partyzanci. Najpierw zabrali go z domu, a później mama otrzymała od kogoś informację, że ojciec nie żyje. Bardzo wtedy płakałam. Z tamtych czasów pamiętam jeszcze, jak

wieczorami siedzieliśmy przy zapalonych lampach naftowych. Elektryczność we wsi założono dopiero około 1965 roku. W zimie było bardzo dużo śniegu, kopaliśmy tunele, lepiliśmy bałwany i rzucaliśmy się śnieżkami. Co roku pod koniec zimy, gdy topił się śnieg, wylewał Bug. Woda przyptywała aż pod same domy. Czasami zdarzało się, że woda jeszcze zamarała i mogliśmy się ślizgać. Często ktoś się zmoczył, ale i tak zabawa była świetna.

Gdy byłam dorosła wyszłam za mąż i miałam czworo dzieci. Mąż dostał od rodziców gospodarstwo rolne. W tamtych czasach ludzie pomagali sobie nawzajem, razem kopali ziemniaki, obrabiali len i kwasili kapustę na zimę. Najgorsze było robienie prania podczas zimy, bo wtedy nie było pralek i trzeba było prać w domach w balii oraz trzeć na tarze, a płukać ubrania trzeba było w sadzawce.

Kiedy w Brzuzie otwarto sklep, to wreszcie nie było trzeba iść daleko po żywność, ale po większe zakupy wciąż udawaliśmy się wozem albo na piechotę do Łochowa.

Pamiętam, gdy młodzież się razem bawiła, urządzali sobie prywatki, grali w piłkę, czytali razem książki. Gdy przychodził maj chodzili do krzyża na modlitwy majowe. Czasy PRL dla jednych były dobre, a dla drugich nie. Większość ludzi w tym czasie miała pracę i mogli kupić sobie mieszkanie lub zbudować dom, ale na rynku brakowało różnych materiałów budowlanych. Żeby kupić coś do jedzenia trzeba było mieć kartki i na te kartki można było kupić mięso, wędliny, cukier, a także buty. Bardzo dużo czasu spędzało się w kolejkach i bardzo często nie starczało produktów dla wszystkich. Cieszę się, że teraz nie ma żadnych wojen i można żyć w spokoju.

Wszystko dobre, póki człowiek oddycha

Kacper Skóra, klasa VII b

– dziadek Stanisław Skóra

Osoba, z którą przeprowadziłem wywiad, to mój dziadek Stanisław. Urodził się jeszcze podczas II wojny światowej, a dokładnie w 1944 roku. Dziadek wraz ze swoją mamą i rodzeństwem przebywali w domu, podczas gdy jego ojciec, a mój pradziadek walczył na froncie wschodnim, na terenach obecnej Litwy. Niemcy w czasie wojny zabierali z gospodarstw jedzenie, a także zabijali zwierzęta hodowlane. W tych trudnych czasach w polskich domach było bardzo mało pożywienia, głównym pokarmem były ziemniaki, mleko i kapusta kiszona. Brakowało również odzieży, a w butach chodziło się tylko do kościoła.

Pierwsze wspomnienia dziadka z Łochowa to obraz małej wsi składającej się z kilku budynków takich jak młyn i stacja kolejowa. Rodzice mojego dziadka prowadzili gospodarstwo rolne i jednocześnie pracowali w Warszawie. W czasach dzieciństwa dziadka nie było prądu, a drogi były jedynie żwirowe i brukowe. Zabawki były drewniane, ręcznie robione. Dzieci bawiły się w chowanego i w inne zabawy, takie jak berek czy piłka nożna. Dziadek chętnie wraca do tych czasów myślami i bardzo dobrze je wspomina. W wieku siedmiu lat poszedł do szkoły podstawowej na Jasiorówce. Uczył się tam języka polskiego i matematyki, uczęszczał też na kółko fotograficzne. Jego ulubionym przedmiotem była matematyka, której uczyła go pani Ziótkowska. Kiedy skończył szkołę podstawową, rodzice wystali go do szkoły zawodowej w Warszawie. Gdy ją ukończył zaczął pracować jako mechanik i jednocześnie kontynuował naukę w technikum dla dorosłych przy Polskich Zakładach Optycznych.

Czasy PRL-u wspomina bardzo źle i są to jedne z jego najgorszych

wspomnień. Produkty żywnościowe takie jak cukier, mięso, słodycze, były sprzedawane na kartki, a owoce cytrusowe były dostępne tylko przed świętami Bożego Narodzenia. Dziadek opowiadał mi, jak w tamtych czasach bardzo długo trzeba było stać w kolejkach do sklepu, czasem nawet po kilka godzin, a na koniec przy ladzie nie można było otrzymać pożądanego produktu. Produkty luksusowe np. Coca-Cola, gumy do żucia z Kaczorem Donaldem i spodnie dżinsowe, czyli rzeczy, które przybyły z Zachodu można było kupić w sklepach „Pewex”¹ za dolary. Kiedy słuchałem dziadka to wszystko wydawało mi się nierealistyczne. Na sam koniec powiedział, że nie chciałby wracać do tamtych czasów.

Zmiany, które zaszły w Łochowie są ogromne. Z małej wsi wyrosło miasto gminne. Dziadek obserwował, jak Łochów zmieniał się i niemal rósł w oczach. Wielką zmianę przeszła także kolej, która się rozbudowała, odnowiono dworzec. Obecnie możemy podróżować szybciej i do większej ilości miejsc. W mieście przybyło bardzo dużo sklepów i nie trzeba stać tak długo w kolejkach.

Mój dziadek nie chciałby niczego zmieniać, mimo że przeżył potworne czasy, takie jak PRL. Nie przeniósłby niczego ze swojej młodości do współczesności. Na koniec powiedział, że wszystkie czasy są dobre, póki człowiek żyje i oddycha. Jest bardzo dumny z tego, że udało mu się przeżyć tamten czas. Ja również jestem dumny z mojego dziadka i cieszę się, że mogłem usłyszeć jego historię.

1 „Pewex” – wł. Przedsiębiorstwo Eksportu Wewnętrzznego „Pewex” – firma państwowa zarządzająca siecią sklepów, uchodzących za luksusowe, w których można było kupić za obcą walutę lub specjalne bony importowane zza granicy towary. W 1989 r. w Polsce było ok. 840 sklepów „Pewex”.

Swetry dla dzieci

Dawid Strąk, klasa VII b

– babcia Elżbieta Strąk

Kiedy moja babcia urodziła się pod koniec lat 50. XX w. Łochów był niewielką wsią, w której znajdowała się stacja kolejowa, sklep i apteka. Ojciec babci był szewcem, a mama zajmowała się gospodarstwem domowym i wychowaniem dzieci. Do szkoły podstawowej poszła w 1966 roku. Potem została szwaczką.

Babcia najlepiej wspomina czasy swej młodości, lata 70. i 80. Najgorzej zaś to, że w sklepach był tylko ocet, a artykuły spożywcze na kartki i w dodatku trzeba było za nimi stać w długich kolejkach.

Jej dzieciństwo nie upłynęło w luksusach, nie jeździła na kolonie i nie miała zabawek. W czasie wolnym grała w piłkę na podwórku lub na drodze, a latem robiła na podwórku namiot z koców. W zrobieniu konstrukcji namiotu z patyków pomagał jej brat. Latem chodziła też z rodzeństwem nad rzekę Liwiec.

Kiedy była nieco starsza, młodzież w jej wieku spotykała się w klubie w Domu Kultury. W remizach strażackich ościennych wiosek odbywały się też zabawy taneczne.

Babcia pracowała w Dziewiarskiej spółdzielni ANITEX w Łochowie od końca lat 70. Była to bardzo ciężka praca fizyczna. W zakładach tych pracowało około 600 osób, głównie kobiet. Praca babci miała charakter chałupniczy¹ – pobierała materiały z zakładów włókienniczych, a z nich robiła swetry na specjalnych, ręcznych maszynach. Na święta wykonywała prezenty dla dzieci z domu dziecka w Julinie.

Od czasów jej dzieciństwa Łochów bardzo się zmienił, powstały nowe osiedla: Leśna, Węgrowa, Laskowska, Zatorze. Łochów rozbudował się, przybyło nowych mieszkańców, ale babci żal, że w naszym mieście

¹ Praca wykonywana w domu na rzecz firmy.

i w okolicy nie ma pracy dla miejscowych. Upadły zakłady „Anitex”, „Bumar Proma” w Baczkach i Ostrówku, więc praca dla mieszkańców została tylko w Warszawie. Niestety jest to dla nich bardzo uciążliwe ze względu na czas i koszty dojazdu.

Z tamtych czasów nie chciałyby niczego przenosić do dzisiejszych, może tylko to, żeby ludzie byli dla siebie bardziej życzliwi.

Często powraca do wspomnień. Swoją szkołę zapamiętała bardzo dobrze, niestety część koleżanek i kolegów, a także nauczycieli, już nie żyje. Ulubionym jej przedmiotem była matematyka.

Z Orzetka przez Warszawę do Łochowa

Wiktorja Styś, klasa VII b

– dziadek Czesław Kądziała

Dziadek Czesław urodził się w 1944 r., kiedy jeszcze trwała wojna. Wraz z mamą i rodzeństwem przez długi czas musieli mieszkać w okopie pozostawionym przez Niemców, ponieważ Rosjanie zajęli ich dom.

Tata dziadka był zabrany do pracy przy dźwiganiu ciężkich drzew, a mama pracowała na roli. Sytuacja rodziny była trudna do tego stopnia, że dwie siostry dziadka miały tylko jedną parę butów, którą nosiły na zmianę.

Dziadek mieszkał w Orzetku, niewielkiej wsi w województwie mazowieckim, w gminie Sadowne. Tam spędził dzieciństwo i młodość. W wieku siedmiu lat poszedł do szkoły podstawowej w Orzetku. Była mała, drewniana, a w klasach zimą trzeba było rozpalać w piecu, żeby było ciepło. Uczniów było niewielu, zdarzało się, że na lekcji było ich tylko pięciu. Lekcje były prowadzone dla kilku klas jednocześnie.

Nauczyciele byli wymagający i zdarzało się, że wymierzali uczniowi karę, na przykład kilka uderzeń drewnianą linijką w otwarta dłoń. Mimo to dziadek dobrze wspomina naukę w szkole, lubił do niej chodzić.

Po lekcjach pomagał rodzicom w gospodarstwie, wyprowadzał krowy i owce na pastwisko. Pracował też w czasie sianokosów i żniw.

Dzieci miały jednak czas, żeby razem z kolegami pograć w zbijaka, czy piłkę nożną. Zimą sami robili sobie narty z drewnianych desek i zjeżdżali z górki.

Po ukończeniu szkoły podstawowej dziadek wyjechał do Sochaczewa, aby uczyć się w technikum. Później przez rok pracował w hucie w Warszawie. Następnie jako brygadzysta podjął pracę w elektrowni, w której pracował do roku 1961. W związku z chorobami rodziców musiał wrócić do domu. Postanowił podjąć pracę w fabryce w Ostrówku, jako pracownik kontroli jakości wyrobów. Pracował tam do emerytury. Do dziś mile wspomina czasy dzieciństwa, chociaż były ciężkie. Obecnie mieszka w Łochowie.

Najgorsza była okupacja

Lena Świętochowska, klasa VII b

– pradziadek Czesław Ołówek

Urodziłem się w moim rodzinnym domu w 1930 roku w Łojkach, wsi położonej cztery kilometry od Łochowa. Moi rodzice Marianna i Wincenty byli rolnikami, a ojciec dodatkowo stelmachem – robił wozy konne. Mój rodzinny dom był zbudowany przez tatę z drewnianych bali i od innych domów różnił się tym, że był pokryty dachówką cementową, a wtedy zazwyczaj kryto się dachy słomą żytnią.

Tata musiał bardzo dużo pracować, by utrzymać tak dużą rodzinę jak nasza, ale nie zostawiliśmy go samego i razem z rodzeństwem dużo mu pomagaliśmy.

Miałem ośmioro rodzeństwa, w tym pięć siostr, a nasze życie było wówczas ciężkie. Jedliśmy to, co rodzice wyprodukowali z naszą pomocą. Matka piekła chleb razowy, kisiła kapustę, uprawialiśmy ziemniaki, hodowaliśmy krowy, które dawały nam mleko, z którego robiliśmy masło.

Podczas niemieckiej okupacji nasze zwierzęta były zakolczykowane i zarejestrowane przez Niemców. Świnę można było ubić na mięso wyłącznie skrycie, gdyż Niemcy mogli za to zabić. W całym kraju były obowiązkowe dostawy zboża, mleka, mięsa i kartofli dla Niemców.

Do szkoły w Łojkach poszedłem w roku 1937, w budynku znajdowały się cztery klasy. Pracował tam na dwie zmiany jeden nauczyciel i uczył wszystkich przedmiotów, tj. języka polskiego, matematyki oraz języka niemieckiego. W szkole panowała dyscyplina, niegrzeczne dzieci karano uderzeniem linijką, ciągnięciem za uszy bądź kazano im klęczeć tyłem do klasy. Uczyło się tam około czterdziestu uczniów, a w mojej klasie było, jeśli dobrze pamiętam, dziewięć osób, które wszystkie dobrze pamiętam. Podręcznik miał tylko nauczyciel, dyktował nam zadania, które wpisywaliśmy do zeszytu. Niektóre z nich trzeba było rozwiązać w domu.

Najgorszymi dla mnie latami był czas okupacji. 1 września 1939 roku Niemcy napadli na Polskę, a 8 września dotarli do Łojek. Ludzie

we wsi wpadli w ogromny popłoch, gdy zobaczyli wojsko niemieckie. 17 września 1939 roku na Polskę napadli również Rosjanie, którzy doszli aż do Stoczka, do rzeki Bug i tam się zatrzymali.

Podczas okupacji pracowałem w gospodarstwie rolnym, a do szkoły nie chodziłem aż do wkroczenia armii radzieckiej pod koniec wojny.

Edukację kontynuowałem w klasach 5-7 w szkole na Wymysłach. Od tamtego czasu moim ulubionym przedmiotem stała się matematyka. Następnie poszedłem do technikum budowlanego w Sadownem, a w 1951 roku do wojska, gdzie służyłem przez trzy lata w formacji WOP¹. Po powrocie ożeniłem się i pracowałem w Warszawie w zakładach radiowych Kasprzaka², potem w fabryce maszyn budowlanych w Baczkach. Do 1970 r. pracowałem w Warszawskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego jako cieśla. Pracowałem też w Węgrowie, brałem udział w budowie szkoły w Urlach i w Ostrówku, a w Łochowie budynku urzędu gminy, banku spółdzielczego, bloków mieszkalnych, części Domu Kultury.

Porównując dawniejsze z dzisiejszym stwierdzam, że wieś zmieniła się nie do poznania: budynki z drewna zamieniły się w murowane, rolnicy dostają dopłaty z hektara³, młodzież jest wykształcona, a do szkoły dojeżdża autobusami.

Cieszę mnie dzisiejsze czasy, bo możemy decydować sami za siebie, jesteśmy niezależnym krajem. Natomiast obawiam się o młodzież, bo wydaje mi się mało zaangażowana, o wiele mniej niż kiedyś.

1 Wojska Ochrony Pogranicza – 1945-1991 – formacja wojskowa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej powołana do ochrony granicy państwowej.

2 Zakłady Radiowe im. Marcina Kasprzaka w Warszawie – istniejąca w latach 1949-1999 wytwórnia aparatów radiowych oraz magnetofonów szpulowych i kasetowych.

3 Dopłata bezpośrednia – rodzaj subwencji udzielanej rolnikom w Unii Europejskiej w ramach Wspólnej Polityki Rolnej.

Swetry szyłam na maszynie

Maksymilian Wielgat, klasa VII b

– Wiesława Tężyńska

Urodziłam się w połowie lat 50 XX w. Moi rodzice zajmowali się rolnictwem.

W dzieciństwie graliśmy w berka, wdrapywaliśmy się na drzewa, chowaliśmy się w sianie i graliśmy w podchody i w klasy, ale najbardziej zapamiętałam to, że sama pasłam krowy, a ze szkoły, że nauczyciele bili linijką po rękach.

Chodziłam do Szkoły Podstawowej nr 1 w Łochowie. Wszystkich nauczycieli pamiętam, ale najbardziej nauczycielkę, która niesprawiedliwie mnie potraktowała. W siódmej klasie pani od polskiego zatrzymała moje świadectwo i kazała pójść na poprawkę, po czym świadectwo mi oddała.

W życiu dorosłym pracowałam jako dziewiarka (krawcowa), szyłam swetry na maszynie. Pracowałam w spółdzielni, a potem prowadziłam własną działalność gospodarczą. Bardzo lubiłam tę pracę, ale niestety mój zakład pracy już nie istnieje. Z PRL zapamiętałam, że wszędzie były kolejki i nic nie było w sklepach.

Uparty pan od historii

Krystyna Wilczyńska, klasa VII b

– pani Elżbieta Dybkowska

Pani Ela urodziła się na saniach w drodze do szpitala w Łochowie w roku 1968. Sanki były potem jednymi z jej ulubionych zabawek w dzieciństwie.

Jako dziecko miała wiele pomysłów. Raz wymyśliła z kolegą, że zrobią skrzydła, aby szybciej dostać się do szkoły. Mieli startować z szopy na drzewo, jednak, na szczęście, skrzydła okazały się za ciężkie i nawet nie dało się ich podnieść.

Do szkoły poszła w 1976 roku, a najbardziej zapamiętała z niej panią Krasodemską, która kazał uczniom chodzić w czerwonych kokardach. Zapamiętała też pana Ołówka, nauczyciela historii, który we wszystkie wolne zajęcia, a nawet po zajęciach, kazał dzieciom zostawać w szkole i uczyć się historii. Lekcji nigdy nie odpuścił, nawet kiedy uczniowie wkładali szpilki do zamka w drzwiach, by klasy nie dało się otworzyć. Pan Ołówek dzwonił wówczas po ślusarza, a opóźniona w ten sposób lekcja trwała jeszcze dłużej.

Jej ulubionym przedmiotem były prace ręczne, gdzie chłopcy robili np. karmniki dla ptaków, a dziewczynki uczyły się wszywać guziki i zaszywać dziury w ubraniach.

W czasach jej dzieciństwa dzieci grały we wszystko, co tylko znały: w zbijaka, w klasy, w gumę. I nikt się nie nudził. Gdy było dwadzieścioro dzieci, a jedna piłka, to i tak wszyscy bez wyjątku grali i bawili się.

Jej zdaniem młodzież zmieniła się bardzo od tamtych czasów. Kiedyś było nie do wyobrażenia, żeby nic nie robić, zawsze pomagano rodzicom, nawet jeśli nie zawsze się potrafiło, chociażby nakarmić króliki lub pomóc wnieść węgiel z komórki.

Do obecnych czasów chciałaby przenieść relacje międzyludzkie, żeby ludzie mieli dla siebie więcej czasu i byli ze sobą bardziej zżyci. Na przykład dawniej wesela były robione wspólnie, z całej wsi ludzie

znosili talerze i na jednym końcu wsi biesiadowano, a na drugim końcu urządzano tańce. Wszyscy schodzili się na dziennik telewizyjny do domu, w którym był telewizor.

Z PRL pamięta stan wojenny¹ i kartki żywnościowe. Bez kartek nawet pieniądze nie były ważne. Na półkach w sklepach najczęściej nie było nic prócz octu, więc gdy przyjeżdżała dostawa kolejki były ogromne.

Wspomina też jedzenie. W dzieciństwie najczęściej jadła m.in. marchewkę gotowaną z ziemniakami, a mięso najczęściej w niedziele albo na święta. Gdy na polu urosła kapusta, to przyrządzano ją na śniadanie z chlebem, a potem także na obiad z ziemniakami.

O wojnie wiedziała dużo z opowiadań swojej babci. Pamięta jej historię o tym, że szwagier babci uciekł z obozu koncentracyjnego i ukrywał się w pewnej miejscowości. Babcia pojechała tam z siostrą, ale na miejscu okazało się, że szwagier nie żyje, więc wróciła do Warszawy. Na jednej ze stacji miała przesiadkę, ale okazało się, że na peronie byli Niemcy, którzy przeprowadzali akurat łapankę. Babcia podbiegła do jednego z nich i powiedziała: „Proszę, pan mnie musi uratować!” Ten Niemiec kazał jej koło siebie stanąć. Gdy przyjechał pociąg, nic nie mówiąc wskazał jej, że ma do niego wsiąść. Inni Niemcy spostrzegli ją i chcieli schwytać – zaczęli nawet gonić pociąg, lecz ten na szczęście już szybko jechał.

1 Stan wojenny – stan nadzwyczajny, w którym wojsko przejmuje władzę w państwie. Często przybiera formę zamachu stanu, tzn. próby obalenia rządu. 13 grudnia 1981 w Polsce ówczesna władza nielegalnie, łamiąc prawo, wprowadziła stan wojenny, co było próbą siłowego zdławienia opozycyjnego ruchu „Solidarność”.

„...nie miałam dobrych butów tylko trepy, które tata sam mi zrobił.”

„Nie mieliśmy czasu wolnego. Jako nastolatka pracowałam w rolnictwie.”

„Na zakupy jeździliśmy do jednego sklepu, który znajdował się w Żyrardowie. Były przerażające kolejki.”

„W tych czasach jest o wiele lepiej. Jesteśmy wolni, żyjemy swobodnie, nie musimy się niczego bać.”

Miedniewice

„Całe moje życie, od najmłodszych lat, to była ciężka praca.”

„...najprawdopodobniej byli to komuniści, którzy wyrwali wiernym krzyż i go połamali.”

„...wykopali wielki dół w polu i wrzucali tam wszystkich po kolei, a potem ich zakopali.”

„...układaliśmy snopki w letnim skwarze, a potem chroniliśmy się z rodzeństwem przed słońcem w ich cieniu.”

Kartki, kolejki i czołgi

Hanna Baran, klasa VII

– mama Joanna Dybała-Baran

Opowiedz o swoim dzieciństwie.

Urodziłam się na początku lat 70. w Świętochłowicach, małym miasteczku na Śląsku. W dzieciństwie najwięcej czasu wolnego, czy zimą czy latem, spędzaliśmy na podwórku. Latem, gdy byłam młodsza, bawiłam się z koleżankami lalkami. Szyłyśmy im ubranka z naszych starych ubrań albo obcinałyśmy im włosy. Gdy byłam starsza bawiliśmy się w chowanego, w zbijaka¹, w „wołaninę”, skakaliśmy na skakance albo graliśmy w gumę, w dwa ognie i jeździliśmy na rowerach, choć nie każdy wtedy miał rower. Zimą zjeżdżaliśmy z górki na sankach. Niektórzy z nas mieli narty, a na pewno wszyscy mieli małe nartki. Łamały się na potęgę i w czasie jednej zimy każdy z nas miał ich przynajmniej 3-4 pary. Lepiliśmy też bałwana albo budowaliśmy fortecę i rzucaliśmy się śnieżkami.

Możesz wyjaśnić co to jest „wołanina” i nartki?

Wołanina to taka gra, w której jedna osoba wchodzi do kręgu składającego się z kilkorga dzieciaków i w środku tego kręgu ta osoba rzuca piłkę wysoko w górę, w tym samym momencie wołając czyjeś imię. Wywołany musiał złapać piłkę. Jeśli nie złapie, to wchodzi do środka i zabawa zaczyna się od początku. A nartki to były miniaturowe, plastikowe narty. Miały ok. 50 cm długości i były przypinane do butów plastikowymi czy silikonowymi paskami. Silikonowe były lepsze, bo tak się nie rwały, a plastikowe jak zmarzły to łatwo pękały. Były bardzo tanie i jak mówiłam wcześniej, każdy z nas miał kilka

1 Zbijak, dwa ognie – podwórkowa gra zespołowa, w której gracze dwóch drużyn rzucają piłką w zawodników drużyny przeciwnej, eliminując ich z dalszej gry. Zadaniem graczy jest uniknięcie trafienia. Czasem rozróżnia się „zbijaka” od „dwóch ognie”. W tej drugiej grze występują jeszcze zawodnicy pełniący rolę „matek”.

par nartek w każdą zimę.

Czy w czasach, których żyłaś było dużo jedzenia?

Nie było dużo jedzenia, ale na pewno nie chodziliśmy głodni. Niełatwo było o artykuły codziennego użytku. Ubrania kupowaliśmy w sklepie w dużym mieście i nie mieliśmy ich tyle, co dzisiaj. Na jedno dziecko przypadały jedna para dżinsów i jedna kurtka zimowa. Niektórzy przerabiali stare ubrania i dawali im drugie życie. Pamiętam, że chodziłam z mamą do krawcowej, która szyła sukienki.

Jak wyglądała szkoła w twoich czasach?

Przedmioty były takie, jak dzisiaj, oprócz religii, która odbywała się w salce koło kościoła, a zamiast języka angielskiego był język rosyjski. W mojej szkole uczyliśmy się także języka francuskiego. Oczywiście nie było jeszcze informatyki.

A jakbyś opisała atmosferę, jaka panowała w szkole?

Moja szkoła nie różniła się zbytnio od szkoły dzisiejszej. Akurat miałam to szczęście, że uczyłam się w nowo wybudowanej nowoczesnej szkole, z dużym basenem, dużą salą gimnastyczną i dużymi klasami. Każda klasa tematyczna była dobrze zaopatrzona w pomoce szkolne.

Czy w szkole zadawano kary?

Czasami uczniowie byli bici po dłoniach, albo stali w kącie. Ja miałam tylko jednego nauczyciela, który bił po rękach metrową, drewnianą linijką. Osobiście nigdy nie otrzymałam kary, bo byłam grzeczną uczennicą. Najczęściej obrywali chłopcy, ale pamiętam też, jak zapraszano rodziców do szkoły i wtedy już oni przejmowali inicjatywę.

Co najbardziej z tamtych czasów utkwilo ci w pamięci?

Pamiętam, jak któregoś dnia przez nasze skrzyżowanie przejechały czołgi i samochody wojskowe. Wtedy zaczął się stan wojenny. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy.

W PRL-u żyłam jako dziecko, więc niewiele pamiętam i niewiele wtedy rozumiałam. Pamiętam, jak moja mama musiała wstawać o czwartej rano i stać w kolejce do rzeźnika, żeby kupić mięso. Albo

jak musiałam spieszyć się ze szkoły do domu, bo babcia „trzymała” kolejkę po kawę, a ja mając już piętnaście lat mogłam tę kawę kupić (młodsze dzieci nie mogły), więc stawałam w tej kolejce. W sklepach na półkach był tylko ocet. Każdy dostawał kartki żywnościowe, za które można było kupić mięso, cukier, mąkę, mydło, masło. Oczywiście i tak trzeba było stać w kolejkach. W moim domu na szczęście nikt nie palił i nie pił alkoholu, więc mama wymieniała się kartkami z sąsiadem na cukier i słodycze.

Czy uważasz, że w PRL-u żyło się gorzej, czy lepiej niż dziś?

Było zdecydowanie gorzej niż dzisiaj. W sklepach były pustki. Meble można było kupić na kartę MM, czyli dla młodych małżeństw¹. Każdy w domu miał prawie taką samą meblościankę, a kupowało się ją oglądając front jednej szuflady. Dopiero w domu po rozpakowaniu mebli można było zobaczyć całą meblościankę. AGD i różne fajne ciuchy były w sklepach górniczych, czyli na „G”². U mnie w domu nie było górnika, więc niestety nic nie mogliśmy tam kupić. Na zakup samochodu czekało się 3-4 lata i wcześniej trzeba było zapisać się w kolejce w fabryce Fiata. Fiat 126p był marzeniem wielu rodzin, że już nie wspomnę o Fiacie 125p albo o Polonezie – to już był luksus! Na wakacje jeździliśmy przepełnionymi pociągami. Miejsca zajmowaliśmy wsiadając przez okno. Rodzice nas wpychali, a my zajmowaliśmy cztery miejsca – dla nich i dla siebie. Za granicę, na Zachód, można było wyjechać na zaproszenie osoby, która tam mieszkała. Według mnie w PRL żyło się ciężko. Wszystko trzeba było mozolnie załatwiać albo mieć duże znajomości.

1 Tzw. kredyty MM wprowadzono uchwałą Rady Ministrów PRL w styczniu 1982 dla małżeństw osób, które nie ukończyły 35 roku życia.

2 Sklepy „G” pojawiły się w 1981 r. i przeznaczone były tylko dla rodzin górników, posiadających książeczkę górniczą.

Prawdziwy smak świąt

Dominik Bargieł, kl. VII

– babcia Barbara Bargieł

Urodziłam się 8 lipca 1944 r. w Miedniewicach. Jestem córką Jadwigi i Feliksa Wiśniewskich. Moja mama była woźną w szkole w Miedniewicach, a mój tata cieślą. Rodzice prowadzili gospodarstwo rolne. Miałam dwóch braci, Mariana i Józefa.

Co najbardziej pamiętasz z dzieciństwa?

Pamiętam pracę w gospodarstwie, pomagałam rodzicom przy wykopach, zbieraniu owoców, czy robieniu masła. Pilnowałam też rodzeństwa, kiedy rodzice pracowali w polu.

Co robiliście w czasie wolnym?

Praktycznie nie było czasu wolnego. Ale jeśli przytrafił nam się czas dla siebie, to bawiliśmy się w berka albo w podchody.

Kiedy poszłaś do szkoły?

Do szkoły poszłam w wieku siedmiu lat, skończyłam sześć klas. Budynek szkoły znajdował się w starej karczmie w Miedniewicach. W klasach było dużo dzieci, a jeden nauczyciel uczył kilku przedmiotów.

W szkole był rygor i czasem dostawaliśmy kary. Nosiliśmy fartuszki, a dziewczyny musiały mieć spięte włosy, nie wolno było nosić kolczyków i pierścionków. Uczyliśmy się języka polskiego, rosyjskiego, a także matematyki i historii.

Czy twoi rodzice wspominali czas okupacji?

Opowiadali, że było ciężko, bo Niemcy zabierali im wszystko, czego nie zdążyli schować. Rodzice zawozili zboże do młyna i mielili na mąkę, a potem nocami moja mama rozsypywała do mniejszych torebek po jednym kilogramie mąki i sprzedawała ją, gdzie tylko mogła.

Jak zapamiętałaś PRL?

Głównie z reglamentacji żywności. Jedna osoba miała przydział na

dwa kilogramy każdego produktu, a na dwoje dzieci były jeszcze czekolady. Ludzie kombinowali, wymieniali się kartkami, tak żeby dopasować się do swoich potrzeb. Szynek jedzono tylko na święta, tak samo owoce i słoje. To było uciążliwe, ale z drugiej strony dzięki temu święta naprawdę były wyjątkowe. Wszystkim było trudno ale ludzie żywili do siebie szacunek i pomagali sobie.

Na wsi na zakupy jeżdżono do sklepów geesowskich albo na rynek. Za mleko, które rolnicy oddawali do mleczarni, można było wziąć sery, masło, oliwę.

Pamięta pani stan wojenny?

Oczywiście, każdy wtedy myślał, że będzie wojna. Po wsiach jeździły czołgi i samochody z armatami. Nawet mojego męża chcieli wziąć do wojska. Zostałabym wtedy sama z pięciorgiem dzieci.

Jakbyś porównała czas twojej młodości z dzisiejszym?

Było nam bardzo ciężko i wszystkiego brakowało. Rodzice nas nie rozpieszczali, ale dzięki temu nauczyliśmy się szacunku do nich i do siebie. Każdy pomagał innym, żeby było lepiej. Także święta były czymś naprawdę wyczekiwany, bo było trudno zdobyć produkty, żeby przygotować świąteczny stół. Dlatego ze smutkiem przyglądam się dzisiejszym relacjom między ludźmi. Mam własne dzieci i wnuki, obserwuję, jak sobie radzą. Wydaje się, że wszystko mają i niby teraz jest ogólnie lepiej, ale ludzie już się tak nie szanują, jak kiedyś. Po prostu o sobie nie dbają.

Miałam wtedy 14 lat i bałam się

Martyna i Weronika Jakubaszek, klasa VII

– prababcia Helena Kuziela

Urodziłam się w 1925 r. w domu rodzinnym w Guzowie. Na Wolę Miedniewską, do waszego pradziadka, przeprowadziłam się w 1948 r. Miałam pięcioro rodzeństwa, trzech braci: Piotra, Stefana, Władysława oraz dwie siostry: Zofię i Stanisławę. Mój brat Władysław zginął, kiedy Rosjanie przepędzali Niemców z Polski. Miał wtedy 29 lat, żonę i dwoje dzieci. Reszta rodzeństwa przeżyła wojnę, ale dziś nie żyje żadne z nich.

Jak dzieci spędzały czas wolny?

W latach dziecińczych pomagałam w domu mamie. Sprzątałam, prałam, a kiedy nie było braci wyciągałam wodę ze studni. Swój czas wolny przeznaczałam na robienie na drutach, miałam też maszynę do szycia, więc trochę szyłam. Bawiliśmy się w berka, w chowanego, skakaliśmy na gumie, graliśmy w klasy, w podchody, rysowaliśmy, a zimą jeździliśmy na sankach.

A co jedliście?

Jedzenie było wtedy drogie. U nas w domu jadło się kluski, a mięso tylko w mniejszych ilościach.

Jak wspominasz wybuch wojny?

Wybuch wojny był okropny, panował strach, wszyscy jechali ze wsi do miast. Każdy chodził smutny i przygnębiony. Niemcy zabierali konie, jedzenie i inny dobytek. Kiedy weszli do Polski i dotarli w nasze okolice, zatrzymali się w szkole w Guzowie. Pod koniec wojny, przed wejściem Rosjan, Niemcy podpalili wszystkie dokumenty, jakie zgromadzili w tej szkole. Budynek spłonął.

Uczyłaś się w tej szkole? Co z niej pamiętasz?

Do szkoły dzieci ubierały się w granatowe fartuchy z białym kotnikiem, sukienka musiała być schludna, a przede wszystkim czysta

jak fartuch. Chodziliśmy prawie cały tydzień w jednym ubraniu. Kiedy uczniowie źle się zachowywali, dostawali złe oceny. Nauczyciele kazali też zostawać po lekcjach albo dawali dodatkowe zadania domowe, a czasem karali nas fizycznie, ciągnęli i wykręcali uszy oraz bili linijką po rękach.

Do 1939 roku wśród nauczanych przedmiotów była geografia, historia Polski, matematyka, fizyka, chemia i zajęcia dodatkowe: rysunki, śpiew, gimnastyka, jednakże nie było języków obcych. Dopiero podczas okupacji nauczyliśmy się języka niemieckiego, ale nie mogliśmy uczyć się geografii i historii.

Dlaczego nie było tych dwóch przedmiotów?

Bo uczenie się o Polsce było wówczas ogólnie zabronione¹.

Czy w okolicy mieszkali ludzie innych narodowości?

Tak, przed wojną mieliśmy kilku znajomych Żydów. Kupowali zboże od rodziców, ale nie wiem, co się z nimi stało w czasie wojny.

A czy widziałaś egzekucje, których dokonywali Niemcy?

Nie, nie widziałam, bo nigdy nie chodziłam ich oglądać. Miałam wtedy 14 lat i bałam się.

Jak żyliście w okresie okupacji?

Jedliśmy, co mieliśmy. Przeważnie drób, rzadko kiedy jedliśmy wieprzowinę, ponieważ większość trzeba było oddać Niemcom. Niemcy kolcowali² świny i znaczyli krowy i wtedy już należały do nich. Jeśli chodzi o ubrania, to o tym, w co się ludzie ubierali decydował budżet. Pracowałam w fabryce cukru w Guzowie i u bogatszych gospodarzy. Niektórzy ludzie pracowali właśnie u mojego

1 Rozporządzeniem z 31 października 1939 r. okupanci polecieli uruchomienie szkół powszechnych i zawodowych, bez nauczania historii, geografii, z ograniczonym nauczaniem języka polskiego. Utrzymano siedmioletni obowiązek szkolny dla Polaków, z tym że w dwóch ostatnich latach nauki zajęcia szkolne miały odbywać się tylko raz w tygodniu. (cytat za: S. Meducki, *Niemieckie okupacyjne szkolnictwo zawodowe w Generalnym Gubernatorstwie 1939–1945 (na przykładzie dystryktu radomskiego)*, Prace Naukowe Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie; Seria: Pedagogika 2012, t. XXI, s. 406–407

2 Kolcować – in. tatuować.

ojca. Nikomu nie było łatwo. Były wtedy wysokie podatki, m.in. podatek gruntowy i dochodowy, a dodatkowo Niemcom trzeba było oddawać jedzenie.

Co najbardziej zapamiętałaś z czasów wojny?

Straszną chciwość ludzi, którzy chcieli zabierać innym. Ciągłe trzeba było wszystko oddawać. Pamiętam, że ludzie byli karani, kiedy czegoś nie oddali.

Czy pamiętasz jakieś szczególne zwyczaje i tradycje?

Były przebierańce, tzn. ludzie chodzili i śpiewali po dyngusie, było półpoście, czyli taki zwyczaj, że w połowie postu rysowano na szybach okiennych jakieś wzory. Nawiasem mówiąc, przydarzyła mi się kiedyś taka sytuacja i strasznie ciężko było to później zmyć. Były też święta państwowe. W Polsce komunistycznej obchodzono hucznie 1 maja, natomiast 3 maja już nie, ale szliśmy wtedy do kościoła, gdzie odprawiano mszę za ojczyznę¹.

Czym zajmowałaś się po wojnie?

Miałam swoje gospodarstwo, hodowałam krowy i świnie, zajmowałam się również swoimi dziećmi.

Czym zajmowali się mieszkańcy miast?

Sprzedają różnych rzeczy, sprzedawali np. sztucce, dywany, drogie ubrania, biżuterie, obrazy. Przychodzili do domów wyceniać daną rzecz i ją sprzedawali.

Co można było kupić w sklepach?

W PRL trzeba było wcześniej wstawać, żeby udało się cokolwiek kupić, ponieważ było bardzo mało towaru, a kolejka była długa. Człowiek brał wtedy to, co było. W sklepie można było kupić olej, wędliny, chleb i coś słodkiego.

A na co dostawaliście kartki?

Był przydział na cukier, mięso, masło, na mąkę i na alkohol.

Czy pamiętasz stan wojenny?

Tak, aresztowali wtedy wielu ludzi. Trzeba się było liczyć ze słowami, tak dorośli jak i dzieci. Podobnie jak za czasów Niemców, przed wejściem jak i po wyjściu z kościoła kobiety oraz mężczyźni nie mogli ze sobą rozmawiać ani podawać sobie rąk i nie wolno było stać grupkami. W kościołach nie odbywały się procesje.

Czy uważasz, że lepiej żyło się w PRL czy dzisiaj?

Ciężko mi powiedzieć. W PRL było więcej zakładów i pracy dla ludzi, więc wydaje mi się, że lepiej żyło się właśnie wtedy.

Czy w okolicy działała „Solidarność”?

Tak, działała, natomiast ja i moja rodzina nie braliśmy w niej udziału. Mojego ojca chcieli w to wciągnąć, ale on powiedział, że ma dużą rodzinę i dla niego to tak samo jakby zapisał się do partii.

¹ Święto Narodowe 3 Maja było zniesione i praktycznie zakazane od 1946 r., a formalnie od 1951 r.

Nauczycielka historii

Wiktoria Jakubaszek, klasa VII

– ciocia Elżbieta Konarska

Urodziłam się w styczniu 1950 roku w Oryszewie Nowym i tu się wychowałam. Moi rodzice zajmowali się gospodarstwem rolnym. W wieku siedmiu lat poszłam do szkoły w Guzowie, a później do średniej w Żyrardowie.

Jakie jest twoje pierwsze wspomnienie z Oryszewa?

Kiedy byłam nastoletnią dziewczyną, chodziliśmy w korowodzie przebierańców. Zakładaliśmy różne czapki, kurtki, sukienki, szaliki. Przebieraliśmy się za „Cygankę”, babcię i chodziliśmy. Nie mogliśmy doczekać się następnego roku. W latach 50 i 60 to była właśnie rozrywka dziecięca. Pamiętam też z tego okresu, że nastoletni chłopcy, kiedy już wyszukali sobie panny w swoim wieku, to chodzili i malowali nam farbą bociana na szybie. Wtedy panny się cieszyły, że chłopcy pamiętają o nich.

Opowiedz mi o swojej szkole.

W szkole obowiązywał odpowiedni strój, fartuszek lub mundurek. Uczniowie nosili się skromnie. Uczyli mnie między innymi Andrzej Felczak, Maria Grzybowa, Irena Jabłońska, Wanda Kieszowska, pani Filipkowska, pani Nowak, pani Szostek i pani Kałużowa. Pani Kałużowa uczyła nas historii i bardzo dobrze o niej opowiadała. Zawsze powtarzała: „Pamiętaj, że historia pisze scenariusze na przyszłość”. I jak do tej pory wszystko się sprawdziło. Poza tym uczyłam się matematyki, historii, polskiego, religii, biologii, rosyjskiego, geografii. Najbardziej lubiłam polski, ale najważniejszym przedmiotem był rosyjski.

Jakie kary nauczyciele zadawali swoim uczniom?

Za moich czasów za karę trzeba było zostać po lekcjach i to była tak zwana koza, a z cięższych kar było np. klęczenie na grochu

z rękoma wzniesionymi do góry.

Czy pamiętasz swoje koleżanki i kolegów?

Miałam przyjaciółkę o imieniu Krysia. Nasze drogi się rozeszły, gdy skończyłyśmy szkołę. Czasami ją spotykałam na zakupach, ale już dawno jej nie widziałam.

W czasie wolnym bawiliśmy się w berka, klasy, chowanego, podchody. Zbieraliśmy się wszyscy na podwórkach, graliśmy w karty i w kapsle, ponieważ kiedyś nie było komputerów, telewizji czy internetu.

Co było można kupić w sklepie?

Sklepy najczęściej świeciły pustkami, wisiąły tylko haki i nic nie było można kupić, a później z kolei były kartki. Każdy miał na kartce przydzielone parę dekagramów wędlin i cukru, chleba, także buty były na kartki. Ale za tym wszystkim trzeba było stać całą noc, żeby coś można było dostać. Dlatego ludzie jedli skromnie. Często chleb z masłem, popijany herbatą z cukrem.

Gdzie jeżdżono na zakupy?

Gdzie się dało i gdzie można było coś dostać: na targowiska, do miasta, były też sklepy komercyjne, czyli prywatne. Jak ktoś był bogatszy i miał pieniądze, to kupował wszystko w sklepach prywatnych.

Czy w PRL żyło się lepiej niż dzisiaj?

Teraz jest lepiej. W tamtych czasach w sklepie nie było towaru. Nie było tych pieniędzy gdzie wydać. Z drugiej strony teraz w sklepach jest towar, tylko często nie ma pieniędzy. Ale z całą pewnością teraz się żyje lepiej, bo mamy dostęp do wszystkiego: do internetu, telewizji, można też pojechać, dokąd człowiek chce.

Zbieraliśmy różne rzeczy

Angelika Jankowska, klasa VII

– Ewa Jakubczak

Urodziłam się w 1971 roku. Moja mama pracowała w zakładach lniarskich w Żyrardowie, a dodatkowo zajmowała się dziećmi i pomagała mojemu tacie w gospodarstwie. Od dziecka mieszkam w Nowej Wsi położonej w województwie mazowieckim. Kiedy byłam starsza pomagałam mojej mamie przy pilnowaniu młodszego rodzeństwa i w gospodarstwie. Jak wyprowadziłam się od rodziców, to założyłam swoją rodzinę i prowadzę własne gospodarstwo.

Dokąd jeżdżono na zakupy w czasach PRL?

Na zakupy zazwyczaj jeżdżono do pobliskiego sklepu, a raz w tygodniu na miejskie targowisko. Wspomniany sklep był wówczas gorzej wyposażony niż dzisiaj, ale i wtedy dostępne były artykuły spożywcze i chemiczne. Ograniczony był wybór stodyczy, było ich zaledwie kilka rodzajów.

Czy według pani w PRL żyło się lepiej, czy gorzej niż dzisiaj?

W PRL-u żyło się znacznie gorzej, ponieważ działał system kartkowy i wszystko było przydzielone na kartki.

W co były ubierane dzieci?

Kiedyś dzieci ubierano skromniej niż dziś. Nawet chodząc do szkoły musiały wszystkie mieć jednakowe niebieskie fartuszki z białymi kołnierzykami. Chłopcy mieli fartuszki krótsze, a dziewczynki dłuższe. Każdy miał na ramieniu przyszytą tarczę z nazwą szkoły, do której chodził.

Gdzie chodziła pani do szkoły?

Chodziłam do szkoły w Miedniewicach, gdzie uczyłam się matematyki, języka polskiego, historii, przyrody, a później także fizyki, oraz języka rosyjskiego. Budynek szkoły zmienił się, dzisiaj jest bardziej rozbudowany i odnowiony, uczą się w nim dzieci z najbliższych okolic. Powstały nowe boiska, sala gimnastyczna, a także świetlica,

w której po skończonych lekcjach dzieci mogą się pobawić lub odrobić lekcje. Dziś klasy są wyposażone w nowe przybory, z których dzieci chętnie korzystają i pomagają im to w nauce, a w każdej klasie mają jeszcze komputer.

Jakie kary stosowano w szkole, do której pani chodziła?

W tamtym czasie w szkole stosowano takie kary jak klęczenie na grochu, szarpanie za ucho i stanie w kącie. Czasami nauczyciele bili linijką po rękach. Wydaje mi się, że nauczyciele wymagali wtedy większej dyscypliny od uczniów niż obecnie. Obok kar cielesnych stosowano także i psychiczne, na przykład nakazanie uczniowi wystąpienia przed całą szkołą na apel, który odbywał się co tydzień, albo siedzenie w osłej ławce, z rękami w górze. Dzieci były też karane wtedy, gdy były nieposłuszne rodzicom i gdy nie chciały pomagać w codziennych obowiązkach domowych. Osobiście zawsze słuchałam nauczycieli i nie byłam karana.

A jak spędzano czas wolny?

Dzieci spędzały więcej czasu na świeżym powietrzu, wymyślając różnego rodzaju zabawy, takie jak berek, gra w chowanego, w klasy, skakanie na skakance, podchody.

Zbieraliśmy też różne rzeczy. Wśród dziewczynek królowały wido-kówki, opakowania po czekoladach, kolorowe karteczki, pachnące gumki do mazania, naklejki od gum do żucia z kucykami *Pony*, czy laleczkami Chabel, w które każda z dziewczyn wpatrywała się jak w święty obrazek. Męska płęć gustowała w standardowych znaczkach, kapslach, puszkach po piwie, monetach. Oczywiście najcenniejsze były „zachodnie” egzemplarze w każdej z tych kolekcji. Poza tym niektórzy zbierali także obrazki z gum Turbo, karty ze sportowcami, rzadziej niemieckie egzemplarze *Bravo* czy *Popcornu*¹. Do tego plakaty ze *Świata Młodych*, *Dziennika Ludowego*, albo informacje o gwiazdach z Zachodu, które wklejało się do specjalnego zeszytu.

1 *Bravo*, *Popcorn* – popularne czasopisma dla młodzieży ukazujące się w Polsce od początku lat 90. XX w. W szczytowym okresie sprzedawano 300 tys. egzemplarzy „Bravo” miesięcznie.

Po wojnie nie wróciłam do szkoły

Julia Lewandowska, klasa VII

– prababcia Stefania Durka

Urodziłam się w 1930 roku we wsi Grabowiec w gminie Słubice, a mieszkałam w Pieczyskach w gminie Łów wraz z rodzicami i czworgiem rodzeństwa, Marią, Janiną, Janem i Stanisławem. Moi rodzice – Stefan Piecka i Agnieszka Jastrzębska – byli rolnikami, prowadzili własne gospodarstwo rolne. Żywiliśmy się wyhodowanymi przez nas warzywami i owocami. Dzięki temu, że mieliśmy zboże z własnego pola, mogliśmy piec pieczywo. To wystarczało rodzicom na wyżywienie rodziny.

Pamięta pani wybuch II wojny światowej?

Miałam wtedy 9 lat. Chodziłam do drugiej klasy szkoły podstawowej w Łowie. W czerwcu 1939 r. przystąpiłam do pierwszej komunii świętej. W tamtym czasie bardzo często przebywałam u swoich dziadków w miejscowości Grabowiec w gminie Słubice. Dziadkowie byli chorzy, więc pomagałam im w gospodarstwie. Właśnie w Grabowcu zastała mnie wojna. Tereny, na których mieszkali dziadkowie, były wysiedlane przez Niemców¹. Wraz z dziadkami Anną i Janem Pieckami, zostałam wywieziona do miejscowości Zięblice koło Kazimierzy Wielkiej. Przewozili nas pociągiem do transportu zwierząt i straszili, że zostaniemy wrzuceni do dołu z wapnem i w ten sposób zginiemy. Na szczęście nic takiego się nie wydarzyło.

Jak wyglądały pani późniejsze losy?

Wraz z dziadkami zamieszkałam u Amerykanki, która prowadziła gospodarstwo rolne. Przebywałam tam pięć lat, w czasie którym

bardzo ciężko pracowałam i służyłam tej pani. Zajmowałam się gospodarstwem domowym, obrządzaniem zwierząt, pracami w polu. W trakcie prac w polu zawsze musiałam być na tzw. przodku (tzn. być pierwsza przed innymi), mimo tego, że byłam mała i nie miałam siły na tak ciężką pracę, ale nie miałam wyjścia, nikt się nade mną nie litował. Kiedy nie nadążałam, byłam bita i upokarzana. Podczas pobytu na służbie nigdy nie miałam czasu wolnego na zabawę.

Dlaczego nie chodziła pani do szkoły?

Nie chodziłam do szkoły, ponieważ jako najstarsza z rodzeństwa, po śmierci ojca, miałam obowiązek zarabiania pieniędzy na rodzinę. Musiałam pójść do pracy, więc zrezygnowałam z edukacji.

Co robiła pani po wojnie?

Kiedy ogłosili zakończenie wojny przyjechała po nas do Zięblic siostra mojej mamy i zabrała mnie i moją babcię do domu. Niestety mój dziadek zmarł podczas pobytu Zięblicach i został pochowany w Kazimierzy Matej.

Czy po powrocie do domu kontynuowała pani edukację szkolną?

Nigdy więcej nie poszłam do szkoły. To były ciężkie czasy, nie mieliśmy na chleb, więc musiałam pomagać rodzicom w gospodarstwie. Mój tata zginął podczas rozbrajania jednego z granatów, dlatego jako najstarsza z rodzeństwa musiałam zarabiać na całą rodzinę. Całe moje życie, od najmłodszych lat, to była ciężka praca. Sprzątałam w sklepach, pracowałam w gospodzie, w młynie i u ludzi na służbie. Po wyjściu za mąż wraz z moim mężem Stanisławem prowadziłam gospodarstwo rolne.

¹ Grabowiec znalazł się w trakcie okupacji w tzw. Kraju Warty – obszarze Polski składającego się z Wielkopolski i części województwa łódzkiego, wcielonych do hitlerowskich Niemiec. Wypędzenia były częścią planu germanizacji podbitych przez Niemców ziem. Ogółem w czasie wojny Niemcy wypędzili z domów ponad 1,5 mln osób narodowości polskiej.

Noce i dni w kolejkach

Adam Owczarek, klasa VII

– ciocia Stefania Migda

Co najbardziej zapamiętałaś z dzieciństwa?

Urodziłam się w 1931 roku na Kolonii Miedniewskiej, miałam jeszcze brata. Pamiętam kilka zdarzeń z dzieciństwa. Któregoś dnia, gdy byłam na cmentarzu, ulicą szła kompania¹ ze Skierniewic do kościoła w Miedniewicach na odpust Matki Bożej Anielskiej. Gdy kompania minęła cmentarz, podeszło do niej dwóch mężczyzn, najprawdopodobniej byli to komuniści, którzy wyrwali wiernym krzyż i go połamali. Poszłam potem do kościoła i wtedy weszła do niego jedna kompania, z pięknym krzyżem, a po niej ta, której krzyż połamano. Zauważyłam, że wykonali nowy krzyż z białej brzozy i z nim przyszli do kościoła.

Zapamiętałam też inne zdarzenie, kiedy przyszedł do nas jakiś pan i powiedział, że podzielił już ziemię i że każdy dostanie po dwa hektary, ale my dostaliśmy tylko 40 albo 35 arów².

I jeszcze jedna historia, kiedy przyszedł do nas sołtys, aby policzyć, ile mamy zwierząt, a my mieliśmy tylko kury. Policzył ile ich jest, a było ich aż pięćdziesiąt, i kazał nam oddawać wszystkie jajka. Mama co prawda zgodziła się, ale dawała mu tylko parę jajek dziennie, tłumacząc że kury znoszą ich mało.

Co wtedy jedliście?

Na śniadanie najczęściej zacierki na mleku, a czasem kaszę manną, też z mlekiem. Na obiad ziemniaki z czerwonym barszczem, a nieraz

¹ Tu „kompania” w znaczeniu grupy wiernych udających się do kościoła.

² Prawdopodobnie chodzi o reformę rolną z 6 września 1944 r, przeprowadzoną na mocy dekretu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Dotyczyła ona wywłaszczenia i parcelacji majątków ziemskich o obszarze ponad 50 ha, a na niektórych terenach powyżej 100 ha i przekazaniu ziemi chłopom małorolnym.

także z rosółem. Kotlety mielone były od święta, a w tygodniu jedliśmy zazwyczaj jakąś zupę. A już owoce np. pomarańcze, były tylko na święta Bożego Narodzenia. W zakładach pracy dawali paczki dla dzieci i ten dzień to była wielka radość. Nigdy nie mogliśmy się tych paczek doczekać.

Jak dzieci spędzały czas wolny?

Bawiły się w berka, grały w kapsle, skakały na gumie, grały w klasy, bawiły się w chowanego i w króla ciszy¹, a wieczorami przeważnie grały w karty.

A były jakieś szczególne zwyczaje?

W okresie świątecznym dzieci chodziły po domach, coś zaśpiewały i zarobiły parę groszy. A w lany poniedziałek polewały się wodą.

Gdzie jeździliście na zakupy?

W Miedniewicach był sklep, ale jeździliśmy też do Żyrardowa. Trzeba było stać w kolejkach, w Miedniewicach zazwyczaj dwie godziny, a w Żyrardowie to nieraz pół dnia. Czasem bywało tak, że wreszcie dostawaliśmy się do lady, a tam okazywało się, że towar się skończył albo zostały jakieś resztki. Ludzie strasznie się wtedy denerwowali, ale co było robić. Trzeba było przyjechać innego dnia i znów stać w kolejce z nadzieją, że tym razem zakupy się udadzą. Przed świętami Bożego Narodzenia trzeba było zacząć stać w takiej kolejce już w nocy, a potem jeszcze dzień, żeby móc kupić rybę na wigilię.

Jak wyglądał system kartkowy ?

Każdą rodzinę była przydzielona jakaś ilość towaru na miesiąc: np. mięsa, cukru, mąki, stodyczy, papierosów, benzyny, wołowiny cielecej z kością itp.

Czy w okolicy działała „Solidarność”?

Tak, ale ani ja, ani nikt z mojej rodziny nie był jej członkiem.

W PRL-u żyło się lepiej, czy gorzej niż dziś?

Myślę, że teraz jest lepiej, bo wtedy ludzie męczyli się, żeby np. na

¹ Król ciszy – zabawa dla dzieci, polegająca na zachowaniu ciszy wobec króla, w którego wciela się jedno z dzieci. „Król” przekazuje po jakimś czasie insygnia swojej władzy (np. koronę) najcichszemu z dzieci.

święta zarobić na kawałek ryby czy czegokolwiek i jeszcze trzeba było swoje odstać w kolejce. W ogóle była bieda i prawie nic nie było w sklepach. A z drugiej strony teraz ludzie mają wszystko w sklepach, jest przesytno i nie wiem, czy to jest takie dobre. Kiedyś ludzie starali się robić sami, co potrafili i to było zdrowe, a teraz do wszystkiego dodają chemię.

Chciałem jeszcze spytać o przeszłość, czy w okolicy mieszkali Żydzi?

Tak, było ich tu bardzo dużo, szczególnie w Wiskitkach. Pamiętam jak przyprowadzili Żydów na most i rozstrzelali jednego po drugim, a potem wykopali wielki dół w polu i wrzucali tam wszystkich po kolei. A potem ich zakopali. Pamiętam też, że Rosjanie rozstrzelali dzieci naszych sąsiadów, które wracały ze szkoły. Przeżył tylko jeden chłopak, ale po pewnym czasie też umarł, bo jego rana okazała się zbyt ciężka.

Czy przyjaźniłaś się z jakimś Żydem?

Nie, był wielki strach, że nas też rozstrzelają, ponieważ przyjaźń z Żydami, a nawet jakikolwiek kontakt z nimi, mógł skończyć się śmiercią.

Chleb z masłem raz w tygodniu

Kinga Płuciennik, klasa VII

– Zuzanna Miastowska

Urodziłam się w maju 1926 roku w Miedniewicach w moim rodzinnym domu, w którym mieszkałam z rodzicami i rodzeństwem. Moi rodzice, Franciszek i Julia prowadzili małe gospodarstwo. Poza pracą na roli tata był też muzykantom, grał na różnych zabawach, aby zarobić trochę pieniędzy.

Gdzie pani chodziła do szkoły?

Uczęszczałam do szkoły w Miedniewicach, wtedy szkoła podstawowa trwała przez siedem lat. W szkole uczyłam się tylko pięciu przedmiotów: języka polskiego, przyrody, matematyki, religii oraz gimnastyki. Uczyła mnie pani Cyrankowska, a szkoła znajdowała się w starej karczynie, na zakręcie naprzeciw kościoła. Teraz nie ma już tego budynku, zresztą wielu budynków już nie ma, bo Miedniewice bardzo się zmieniły.

Czy pamięta pani jakie kary były zadawane przez nauczycieli?

Najczęstszą karą była zła ocena, czyli „dwójka”. Za większe przewinienia nauczyciel potrafił uderzyć po rękach drewnianym wieczkiem od piórnika lub linijką.

W jakie zabawy bawiły się dzieci?

Po skończonych lekcjach najczęściej spotykaliśmy się z koleżankami i kolegami i bawiliśmy się w różne zabawy: w ganianego albo fikaliśmy koziołki na trawie. Moją ulubioną zabawą z dzieciństwa był chowany.

Z uroków wiejskiego życia i mieszkania na wsi najbardziej pamiętam żniwa. Układaliśmy snopki w letnim skwarze, a potem chroniliśmy się z rodzeństwem przed słońcem w ich cieniu. Zwoziliśmy siano lub słomę na wielkim drabiniastym wozie na żelaznych kołach, który na każdym zakręcie przechylał się niebezpiecznie

na bok. Wszyscy jechali na górze, łącznie z dziećmi. Pamiętam też, jak wrzucaliśmy buraki cukrowe do piwniczki, jak sadziliśmy ziemniaki, a potem zbieraliśmy je wszyscy na jesień. Wszyscy ruszali do pomocy i uwijali się jak w ukropie. Ja nie czułam się jakoś obarczona pracą na roli, ale moi rodzice wspominali ten czas jako prawdziwą udramę.

Co pani jadła w trakcie wojny?

Najczęściej jedliśmy to, co wyhodowaliśmy, na przykład owoce i warzywa. Jako że byłam najmłodsza z rodzeństwa jadłam chleb posmarowany masłem, ale tylko raz w tygodniu, gdyż resztę masła mama zamieniała na targu w Wiskitkach na sól i cukier lub jakieś zioła, ale to się rzadko zdarzało.

W jakich czasach żyło się pani lepiej?

Dużo lepiej żyje się w dzisiaj ponieważ wszystko jest dostępne, ale tamte czasy również mają swoje uroki, ludzie byli dla siebie bardziej życzliwi, pomocni i każdy pomagał innym tyle, ile mógł.

Czy mieszkała pani przed wojną oraz w trakcie wojny w tej samej miejscowości?

W trakcie wojny mieszkałam w Miedniewicach, ale gdy Niemcy przyjeżdżali w nocy lub w dzień, to uciekaliśmy na Kamionkę. W tej małej miejscowości mieliśmy ziemiankę i w niej spaliśmy. Spaliśmy tam również wtedy, kiedy moi rodzice bali się bombardowania lub czegoś podobnego. Ale Kamionka znajduje się tak niedaleko Miedniewic, że gdyby miały spaść na nas bomby to tak czy owak byśmy zginęli.

Jak wyglądało pani życie w trakcie wojny?

Po ukończeniu szkoły poszłam do pracy w wieku czternastu lat. Pracowałam w zakładzie krawieckim „Bielnik” w Żyrardowie. Najczęściej szyliśmy tam pałatki, spodnie, rękawiczki wojskowe lub doszywaliśmy do nich rękawy i guziki. Praca była zmianowa, pierwsza zmiana zaczynała się o godzinie 5 rano, a kończyła o 13, natomiast druga zmiana zaczynała się o godzinie 13 i kończyła o 22.

Rozstrzelali go na naszych oczach

Lena Podolska, klasa VII

– babcia Helena Koźbiał z domu Kandyba

Urodziłam się w 1935 roku w wiosce Dziurków w okolicy Radomia. Jestem córką Andrzeja i Anny Kandybów. Moi rodzice byli rolnikami i prowadzili własne gospodarstwo.

Miałaś dużą rodzinę?

Miałam dziewięcioro rodzeństwa. Mój tata był wdowcem i z pierwszego małżeństwa miał dwoje dzieci, Stanisława i Cecylię. Potem ożenił się z moją mamą i miał z nią jeszcze ośmioro dzieci – Józefa, Janka, Kazimierza, Janinę, mnie, Juliana, Bogumiłę i Zofię. Więc razem było nas dziesięcioro. Były to bardzo trudne czasy, ciężko było o żywność, nawet o chleb. Nie było go z czego upiec, więc rodzice wybierali się aż do Warszawy, aby przywieźć w workach przeceniony, nieświeży chleb. Dzięki temu mogli wyżywić tak liczną rodzinę. Od małego wszyscy pomagaliśmy rodzicom w gospodarstwie, jak również chodziliśmy do innych gospodarzy na zarobek. Dzięki zarobionym pieniądżom mogliśmy się lepiej ubrać, a przede wszystkim pomóc rodzicom. Starsze rodzeństwo, moi bracia, chodzili do tak zwanych „terminów” uczyć się konkretnego zawodu. Brat Józiek uczył się na stolarza, Janek uczył się robić walanty¹ i inne bryczki, Kazik uczył się lakiernictwa, a Julek krawiectwa. Siostra Jaśka i ja pomagałyśmy rodzicom w domu, zaś Bogusia i Zosia były jeszcze małymi dziećmi. Z biegiem lat z rodzeństwa tylko ja, Stanisław i Celina zostaliśmy rolnikami, reszta zaś udała się do miast, do Warszawy, Ursusa i Grodziska Mazowieckiego. Tam założyli własne rodziny, pracowali i wychowywali swoje dzieci. Niestety większość rodzeństwa zmarła, zostałam tylko ja i siostra Zosia.

1 Walant (wolant) – rodzaj bryczki.

W jakiej miejscowości mieszkała pani w dzieciństwie?

Po urodzeniu mieszkałam z rodzicami, rodzeństwem oraz z dziadkami w przepięknej okolicy Radomia – Dziurkowie. Kiedy miałam trzy lata musieliśmy szukać innego miejsca do zamieszkania z powodu bardzo niedobrych stosunków z sąsiadami, którzy bardzo uprzykrzali nam życie. Mój tata w poszukiwaniu innego domu wiele razy wyruszał w podróż, ale kończyła się ona niepowodzeniem, gdyż trafiał na nieuczciwych pośredników, którzy chcieli go okraść z zaoszczędzonych pieniędzy. Pewnego dnia miał przemocować u jednego z nich. Dla bezpieczeństwa pieniądze schował na plecach i czuwał w nocy. Nagle zauważył, że ktoś zbliża się z siekierą. Niewiele myśląc zerwał się z łóżka uciekł stamtąd. Schował się pod mostem, aby przeczekać ewentualną pogoń i dopiero po jakimś czasie udał się w drogę powrotną do swojego domu. Niestety nie udało się mu niczego kupić, najadł się tylko strachu i o mały włos nie zginął. Takie wtedy były niebezpieczne czasy. Ale w końcu, poprzez kontakt z dalszą rodziną, trafił na Wolę Szydłowiecką, gdzie było do sprzedania pewne gospodarstwo – 6 hektarów z glinianą chałupą, bez stodoły. Tata kupił gospodarstwo, a potem zbudował stodołę, gdyż znał się na ciesielce. I tak w tej glinianej chałupie wszyscy się wychowaliśmy. Tam wyszłam za męża, a potem moja starsza siostra Jasia, tam dorośli moi bracia.

Czy pamięta pani wojnę?

Tak, pamiętam czas II wojny światowej, zwłaszcza pracę w polu oraz pracę u Niemców. Okupację zapamiętałam jako bardzo ciężki okres, wszędzie panowała okropna bieda. Bardzo często brakowało jedzenia i ubrań. Od dziecka musiałam pracować albo w gospodarstwie albo dla Niemców. Kiedy zaś moi rodzice wyjeżdżali do Warszawy po jedzenie lub mama była chora, a tata musiał pracować w polu, zawsze musiałam pilnować młodszego rodzeństwa. Muszę przyznać, że Niemcy dzielili się na dobrych i złych. Byli tacy, którzy pomagali ludziom, ale też tacy, którzy za byle co potrafili pobić, a nawet zabić niewinnego człowieka. Wolę wspominać czas

powojenny. Już jako młoda panna, chodziłam z koleżankami lub siostrami na wiejskie zabawy, tańce i śpiewy, które odbywały się w wioskach. Były to zabawy dla par jak i dla młodzieży, tańce na łonie natury przy pięknej muzyce. Tam poznałam mojego męża Henryka i po około trzech miesiącach narzeczeństwa wzięliśmy ślub. W 1955 roku, dzięki pomocy rodziców i teściów, a także własnej ciężkiej pracy, założyliśmy swoje gospodarstwo rolne i urodziłam pierwszego syna, Mirosława. Później przyszły jeszcze dwie córki, Jadwiga i Bożena, a w wieku 44 lat urodziłam najmłodszą córkę, Beatę. Przeżyliśmy z mężem szczęśliwe 62 lata, doczekaliśmy się czworo dzieci, ośmioro wnucząt i czworo prawnucząt. Dziś mieszkam z córką Beatą, jej mężem i dwiema wnuczkami Lenką i Olgą.

Czy pani rodzeństwo przeżyło II wojnę światową?

Owszem, cała moja rodzina przeżyła II wojnę światową. Były to okrutne i straszne czasy. Czasy biedy, kiedy baliśmy się wyjść na podwórko, kiedy zabrali nam ostatnią krowę żywicielkę, kiedy wystawili nas na rozstrzelanie pod murem, kiedy nie mieliśmy co jeść i pić, kiedy nie mogłam chodzić do szkoły, bo nie miałam dobrych butów tylko trepy, które tata sam mi zrobił.

W jaki sposób przetrwaliście wojnę?

Często głodowaliśmy. Było bardzo ciężko, ale jakoś dawaliśmy radę. Mieliśmy kawałek sadu i dożywialiśmy się owocami, jabłkami, gruszkami, śliwkami, wiśniami i czereśniami. Mama, gdy nie było chleba, piekła nam na kuchni placki z mąki, którą tata sam zmiełił w młynku. Do młyna było daleko, nie było mąki, więc trzeba było radzić sobie inaczej. Mama była bardzo chora, miała gruźlicę. Często źle się czuła i nie miała siły pracować. Więc musieliśmy pomagać jak najwięcej w gospodarstwie, w wychowywaniu dzieci i codziennych obowiązkach.

Czy ktoś z rodzeństwa trafiło na roboty przymusowe do Niemiec?

Tak, dwoje z mojego rodzeństwa, Stanisław i Cecylia. Stanisław przebywał na robotach pięć lat, pracując w gospodarstwie u pewnego

*bauera*¹. Oporządzał konie i inne zwierzęta. Trafił dobrze, nie był źle traktowany, spał pod pierzyną. Po wojnie, syn tego niemieckiego gospodarza chciał, żeby Stasiak z nimi został, ale brat się nie zgodził i wrócił razem do domu. Wielu Polaków osiedlało się wówczas na tamtejszych terenach, obejmując niemieckie gospodarstwa². Inne były losy mojej siostry Cecylii, która została zabrana do tzw. lagrów. Przebywała tam dwa lata. Jej było bardzo ciężko, była źle traktowana i musiała ciężko pracować.

Co najbardziej utkwiło pani w pamięci z czasów wojny?

Zdarzyło się wiele strasznych sytuacji, a jedną z nich było zabicie przez Niemców trzynastoletniego chłopca żydowskiego na podwórku za naszą stodołą. Pewnego razu na podwórku bawił się z nami mały chłopiec pochodzenia żydowskiego. Niemcy przejeżdżali koło nas i zauważyli go. W poszukiwaniu Żydów Niemcy korzystali z informatora, który kręcił się po wioskach i wyszukiwał Żydów. Następnie donosił on Niemcom i ci pojawiali się na miejscu. Pamiętam, że ten informator przyjechał wtedy razem z nimi. Złapali tego uciekającego chłopca na polu, poprowadzili przez nasze podwórko, przeszli przez bramę i rozstrzelali go na naszych oczach. Jeszcze pamiętam jak mu krew burzyła się z ust. Potem Niemiec wrócił do nas, rozstawił pod stodołą tatę, mamę, mnie i moje rodzeństwo i chciał nas rozstrzelać za przechowywanie Żyda. Wydarzyło się to w 1942 roku, miałam wtedy siedem lat. Bardzo się bałam i strasznie płakałam. Ten donosiciel, znajomy naszej rodziny z drugiej wioski, który napędzał Niemcom Żydów i nastął Niemców na nas, uprosił tego Niemca, aby nas nie zabijał i ocalił nam życie.

Jak żyło się rolnikom podczas okupacji?

Bardzo źle. Pola były niskie, więc stały w wodzie i wszystko gnęło. Nie było nawozów, więc plony były marne. Prawie na wszystkich polach rosła kostrzewa i miotła³, bo ziemia nie była drenowana,

1 Bauer (niem.) – gospodarz.

2 Na wschodnich terenach Niemiec, obecnie stanowiących zachodnią część Polski.

3 *Kostrzewa*, inaczej stokłosa, oraz *miotła zbożowa*, to pospolite chwasty zbóż.

więc rosły na niej niemal wyłącznie chwasty. Jedliśmy prawie same placki. Mieliśmy jeszcze małe sad, z którego było trochę owoców i nimi się dożywiałyśmy.

W którym roku poszła pani do szkoły?

Poszłam do szkoły w 1942 roku, gdy miałam siedem lat. Chodziłam do szkoły w miejscowości Wola Szydłowiecka. Miałam trzy kilometry do samej szkoły. Chodziłam pieszo polnymi drogami. Nie mieliśmy butów, więc tata zrobił nam drewniaki. Zimy były bardzo ciężkie i srogie, nieraz podmrażaliśmy sobie stopy. Tata drzewem obijał nam trepy, w których chodziliśmy do szkoły.

Jak wyglądała szkoła, do której pani uczęszczała?

Szkoła do której uczęszczałam była bardzo mała. Miała drewniane podłogi i ściany. Posiadała boisko, ale bardzo małe. Nie skończyłam szkoły podstawowej, ponieważ szkoła została zlikwidowana, a potem już do szkoły nie wróciłam, gdyż nie miałam za co się uczyć, a poza tym potrzebna byłam w domu do pracy.

Jakie przedmioty były nauczane w szkole?

Przedmioty były podobne do tych, które są teraz. Najtrudniejszym przedmiotem była matematyka i polski. Polskiego nie lubiłam, gdyż było dużo pisania i codzienne kartkówki, a najbardziej lubiłam matematykę. Była też przyroda, historia, religia i plastyka.

Jak wyglądało nauczanie?

Za nieposłuszeństwo na lekcji dzieci karane były uderzeniem linijką lub paskiem. Jeśli nauczyciel przytapał kogoś na ściąganiu, rozmawianiu lub śmianiu się, uczeń od razu dostawał sześć uderzeń linijką albo klęczał na grochu w kącie przez całą lekcję, a nawet przez następną. Całą lekcję trzeba było być skupionym, a zapisaną tablicę musieliśmy przepisać w dziesięć minut. Dodatkowo, parę minut przed końcem lekcji mieliśmy z omawianego właśnie tematu kartkówkę lub nauczyciel, który prowadził zajęcia, wybierał trzy osoby i je odpytywał.

Jak podczas wojny wyglądała miejscowość, w której pani mieszkała?

Podczas wojny mieszkaliśmy w Kolonii Woli Szydłowieckiej w gminie

Bolimów. Była to biedna wieś, w której na polach rosło mnóstwo maków i chabrów. Mieliśmy tam gospodarstwo. Gdy rodzice zdali po wojnie gospodarstwo na skarb państwa, moi bracia zabrali ich do Warszawy, skąd bardzo tęsknili za wsią. Uświadomili sobie, że zrobili błąd, oddając ziemię. Ja jedyna z rodzeństwa zostałam na wsi. Wyszłam za mąż i mama wróciła do mnie. Pobyła trochę i po paru dniach zmarła.

Jak wyglądało życie pod okupacją?

Było ciężko i okropnie. Nie mieliśmy co jeść, głodowaliśmy. Rodzice jeździli do Warszawy, przywozili suchy chleb i tak nas dożywiali. Starsze rodzeństwo poszło do szkoły, a my młodsze musieliśmy tak cierpieć. Ubieraliśmy się bardzo ubogo, mama siała len, przędła go, a potem robiła płótno i z tego dopiero szyła nam ubrania.

Ciężko pracowaliśmy. Musieliśmy w wieku czterech, pięciu lat pracować w polu, bo Niemcy nam kazali. Kto nie poszedł, był surowo karany np. więzieniem albo był biczowany pasem. To było straszne. Nawet na chwilę nie można było odpocząć. Musiałam w czasie wolnym iść do bogatszych gospodarzy obrządzić krowy, żeby zarobić parę groszy.

Czy dzieci bawiły się w czasie okupacji?

Bawiliśmy się na podwórkach. Na przykład w klasy, skakaliśmy w ośmiu rundach, rzucając kamykiem na poszczególne pola. Gdy dziecko nadepnęło na linię, podparto się lub pomyliło kroki, wtedy była tzw. „skucha”. Bawiliśmy się też w kamienie, gra polegała na podrzucaniu i łapaniu pięciu kamieni, a także w chowanego i w kapsle. Tyle mieliśmy zabaw.

Jakie były tradycje, które pani pamięta np. związane z postem?

Trzeba było wystrzegać się pokarmów mięsnych i tłustych oraz ogólnie uważać na to, co się je. Składaliśmy postanowienia wielkopostne i odmawialiśmy pokutę. Tradycją były papierowe pudełeczka, do których przez cały post zbierało się pieniążki. Rozpoczęcie tego było w Środę Popielcową, kiedy posypywano głowy popiołem. Dzieci nie mogły się wtedy bawić, musiały się wyciszyć.

Co robiła pani w czasie wolnym jako nastolatka?

Nie mieliśmy czasu wolnego. Jako nastolatka pracowałam w rolnictwie i z tego się utrzymywałam. Zatrudniałam się do prac w polu, żeby zarobić choć parę groszy na życie, na ubrania. Jeśli miałam czas wolny bawiłam się na wiejskich zabawach, gdzie tańczyliśmy i śpiewaliśmy. Do kościoła w Bolimowie chodziliśmy pieszo siedem kilometrów.

Co robiła pani po wojnie?

Po wojnie pracowałam w gospodarstwie, aż nagle zjawił się pewien chłopak, który chciał, żebym była jego dziewczyną. Chodziliśmy trzy miesiące, a potem postanowiliśmy z Henrykiem, bo tak miał na imię, wziąć ślub. Urodziłam czworo dzieci, jednego chłopca i trzy dziewczynki. Mąż pracował w gospodarstwie, a ja wychowywałam dzieci, ale również mu pomagałam. Bardzo ciężko pracowałam, nie było maszyn, wszystko musieliśmy robić ręcznie. Pielęłam cały hektar buraków cukrowych i ziemniaków. Chowaliśmy dużo świń i krów. Dwa razy dziennie musiałam wydoić wszystkie krowy. Hodowałam także kury, gęsi i kaczkę. Co sobotę z dwoma koszykami jajek jeździłam do Żyrardowa na pobliski rynek, żeby je sprzedać. Za zarobione pieniądze mogłam kupić jedzenie dla mojej rodziny.

Kiedyś przyszli do nas żołnierze, chcieli mleka, a było ich piętnastu. Spaliśmy, gdy nagle usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Mama otworzyła, a w drzwiach stał jeden z nich. Zapytał, czy mama da im mleka, ale ona odpowiedziała, że nie ma ani krowy, ani mleka. Zdziwiony zapytał: „Jak to nie macie krowy? A ile w ogóle macie hektarów?”. Mama odpowiedziała, że siedem. Żołnierze odeszli i zaraz poszli do przedstawicieli miejscowych władz, których zaczęli bić za to, że nie dali nam krowy. Mieliśmy bardzo niedobrego sołtysa. Chronił on przed wszystkim swoją rodzinę, a kto miał okropną biedę, tego jeszcze bardziej gnębił.

Czy pamięta pani, jak został ogłoszony stan wojenny?

Tak, pamiętam 13 grudnia 1981 roku. Został wprowadzony o północy na terenie całej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. To wypadło, jak

pamiętam, w niedzielę. Tego dnia o godzinie 6:00 rano Polskie Radio nadało wystąpienie generała Wojciecha Jaruzelskiego, w którym informował o wprowadzenie stanu wojennego.

Słyszałam, że wtedy trudno było coś kupić.

Za czasów komunistycznych wszystko było na kartki. Po żywność w sklepie trzeba było stać cały dzień w ogromnych kolejkach. Było nam bardzo ciężko. Ojciec, gdy się poczuł słabszy, nie mógł pracować. Zdał cały majątek na skarb państwa. Pożyli potem jeszcze pół roku i zmarli, a my dzieci zostaliśmy bez niczego. Jeżeli ktoś nie miał kartki na jedzenie musiał czekać na końcu kolejki, przepuszczając ludzi z kartkami, żeby ci wykupili potrzebne składniki. Na końcu, jak nikogo nie było, taka osoba mogła wejść i zrobić potrzebne zakupy, jeżeli było coś jeszcze w sklepie, a jeśli nie, to musiała z powrotem wracać do domu z pustymi rękami. Jeśli było coś do kupienia, trzeba było za to sporo zapłacić.

Co można było kupić na kartki?

Była taka karta zaopatrzenia, dzięki której otrzymywało się kartkę z przeznaczeniem na konkretny produkt żywnościowy np. mięso, cukier, wódkę, wyroby czekoladopodobne, albo na buty, skarpetki, mydło, benzynę, garnitury i dziesiątki innych towarów. W latach 70. i 80. były przydziały miesięczne na dwie kostki masła, paczkę cukru i mąki, trzy kawałki kiełbasy, trzy sztuki surowego mięsa, czy też butelkę octu. I musiano to wszystko wystarczyć na wyżywienie czternastoosobowej rodziny.

A co można było kupić w sklepie?

Kto był bogaty, to mógł kupić wszystko, a kto biedny, to nie mógł nic. A my byliśmy biedni. Nie było lodów, pizzy, gofrów, wód smakowych, owoców, mleka też prawie nie było w sklepach. Na zakupy jeździliśmy do jednego sklepu, który znajdował się w Żyrardowie. Były przerażające kolejki. Był też sklep „Pewex”, gdzie można było kupić za obcą walutę markowe, ale bardzo drogie rzeczy.

Opowiedz, czy w PRL żyło się lepiej, czy gorzej niż dziś?

Według mnie lepiej żyje się dzisiaj niż w PRL. Teraz nie ma jedzenia

za kartki, nie trzeba stać w kolejce, dlatego jest o wiele lepiej. Jesteśmy wolni, żyjemy swobodnie, nie musimy się niczego bać. Możemy pojechać, gdzie chcemy, i nie potrzebujemy, jak w PRL, zgody na wyjazd. W PRL nie mieliśmy samochodów, wszędzie chodziliśmy pieszo albo jeździliśmy rowerem. Teraz samochodów jest mnóstwo.

Teraz jestem samodzielna i niezależna

Franciszek Szymczak, klasa VII

– Marzena Szymczak

Urodziłam się w 1975 roku w Żyrardowie. Moja mama pracowała w urzędzie pocztowym jako doręczyciel, a tata jako strażak Ochotniczej Straży Pożarnej. Mieszkałam i nadal mieszkam w Miedniewicach, wsi w gminie Wiskitki.

Jak wyglądały Miedniewice, gdy byłaś dzieckiem?

W latach PRL było tu dużo małych jednorodzinnych gospodarstw, które utrzymywały się w 80 procentach z rolnictwa. Gospodarstwa posiadały zwierzęta takie jak krowy, konie, świnie i kury. Co zamożniejsi mieli więcej sztuk. Niewiele osób pracowało poza rolnictwem. Żyliśmy bardzo skromnie, a żywność była racjonowana. Obowiązywały tak zwane kartki, na porcje cukru, mięsa i inne produkty spożywcze. Jedliśmy przeważnie tylko pierwsze danie, mało kogo było stać na mięso. Słodycze jadłam tylko w święta. Dzieci chodziły zazwyczaj w ubraniach po starszym rodzeństwie, często były to rzeczy wykonane ręcznie na drutach: np. spódniczki wykonane przez babcię. Czasem zakładaliśmy rzeczy za duże, byleby w cokolwiek się ubrać. Prawdziwa moda była dewizowa, tzn. kupowana za obcą walutę m.in. w sklepach „Pewex” czy „Baltona”. Były bardzo drogie, więc ludzie starali się szyć dużo własnych rzeczy.

Czy tak właśnie zapamiętałaś PRL?

Były to trudne czasy, bo ciężko było nawet o chleb. Staliśmy godzinę, a czasami godzinami w kolejkach do sklepu. Nawet ogromne sklepy były puste. Nie było towarów, haki na mięso były gołe, a na półkach stał tylko ocet i musztarda.

Co robiliście w czasie wolnym?

W dzieciństwie bawiliśmy w podchody, w chowanego, graliśmy w klasy i w gumę. Niewiele osób miało telewizory i były tylko dwa

programy telewizyjne, pierwszy i drugi. Dorośli grali w karty, mieli swoje potańcówki i generalnie ludzie częściej się spotykali niż teraz.

Powiedziałas, że były tylko dwa programy, w takim razie co można było obejrzeć w telewizji?

Pamiętam „Teleranek”, był to poranny program niedzielny dla dzieci. Był godzinny magazynem, który wchłonął takie programy jak „Zrób to Sam”, „Niewidzialna Ręka” czy „Klub Pancernych”. Program, a raczej jego brak, stał się symbolem wprowadzenia stanu wojennego, gdyż 13 grudnia 1981 r. w niedzielę dzieci w całej Polsce czekały na „Teleranek”, ale zamiast swojego ulubionego programu w telewizji pokazał się gen. Wojciech Jaruzelski, który tłumaczył, dlaczego wojsko przejmuje władzę w kraju. Ten program prowadził Tadeusz Broś, który występował na antenie przez 37 lat. Oprócz „Teleranka” w telewizji można było obejrzeć inne programy: m.in. „5-10-15”, „Sto pytań do”, „Domowe Przedszkole”, „Eureka”, „Kwant”, „Sonda”, „Tik Tak”, „W starym kinie” i „Z kamerą wśród zwierząt”.

Jak wyglądała szkoła w czasach twójego dzieciństwa?

Budynek szkoły był ten sam, ale panowała w nim uboga prostota, meble były nie do kompletu, raczej brzydkie, brakowało podstawowego wyposażenia, czasami nawet kredy. Uczyliśmy się podobnych do dzisiejszych przedmiotów, różniły się tylko języki obce: nie było angielskiego i niemieckiego, ale był rosyjski.

Co się zmieniło w Miedniewicach na przestrzeni lat?

Zmieniło się bardzo wiele, kiedyś do szkoły i do pracy ludzi dowoziły zatłoczone autobusy. Wieś była brudna i zaniedbana, teraz to się zmieniło. Nie ma już małych gospodarstw rolnych, a większość ludzi pracuje w mieście. Każdy dba o swoje obejście.

Jakie czasy były dla ciebie najlepsze?

Czasy współczesne. Niczego mi nie brakuje, stać mnie na opłaceniu domu, czuję się samodzielna i niezależna.

W konspiracji od dziecka

Karolina Zielińska, kl. VII

– Leszek Andrzej Mroczkowski

Urodziłem się w październiku 1931 r. w Pustelniku pod Warszawą. Jestem synem Antoniego i Kazimiery Mroczkowskich. Mój ojciec Antoni w wieku 18 lat wstąpił do Legionów Piłsudskiego, a w 1920 roku został zawodowym podoficerem w stopniu sierżanta. Zmarł po powrocie ze stalagu¹ w 1945 r. Wychowywałem się z dwoma braćmi, Zbyszkim i Mietkiem, na Targówku w Warszawie. Mój starszy brat Mietek zginął w pierwszych dniach powstania warszawskiego, zaś mój średni brat Zbyszek w 1943 roku został pojmany w łapanie i wywieziony do Niemiec.

Jak pan zapamiętał II wojnę światową?

Wojna zastała mnie i moją rodzinę na Targówku. Po nalotach i zniszczeniu naszej kamienicy musieliśmy przeprowadzić się na Pragę. Mieszkaliśmy na ul. Ząbkowskiej. To były biedne czasy, do dziś pamiętam jak mama gotowała wielki gar kaszy jaglanej lub prażuchę, którą jedliśmy nawet cztery dni. Zamiast do szkoły bieganiem na bazar Różyckiego pomagać handlarzom w zamian za obiad.

Czy w czasie okupacji zetknął się pan z konspiracją ?

Tak, moja matka, bracia i stryjkwowie należeli do Armii Krajowej. Dorastałem w domu, w którym spotykali się konspiratorzy, gdzie wnoszono i odbierano dziwne paczki, byłem ich bardzo ciekaw. Kiedyś zajrzałem do takiej jednej przesyłki i znalazłem dwa rewolwery. Po kilku miesiącach proszenia zacząłem wykonywać drobne zadania, z których jako młody chłopiec byłem bardzo dumny.

Jak to się stało, że po zakończeniu wojny stał się pan żołnierzem

1 Stalag – skrót od niem. *Stammlager für kriegsgefangene Mannschaften und Unteroffiziere* – obóz jeniecki dla szeregowców i podoficerów.

podziemia niepodległościowego?

Patriotyczna atmosfera w domu udzieliła się i mnie, a świadomość okupacji sowieckiej była wszechogarniająca, więc uważałem się za małego żołnierza. Wiosną 1948 r. aresztowano kilka osób z mojej rodziny, a także przyjaciół. Moja matka, żeby mnie uratować, postanowiła wysłać mnie do ciotki na Dolny Śląsk. Tam podjąłem naukę w miejscowym gimnazjum, gdzie trafiłem do klasy maturalnej, do której, okazało się, uczęszczali członkowie oddziału WiN¹. Po trzech miesiącach byłem już zaprzysiężony. Była to organizacja IV Komendy związku Wolność i Niezawistość. Moim dowódcą był podporucznik Wilk. Działaliśmy na Dolnym Śląsku i było nas około sześćdziesięciu.

Na czym polegała pana działalność?

Nasz oddział partyzancki uczestniczył w walce zbrojnej z systemem komunistycznym, a zwłaszcza z jego przedstawicielami z Urzędu Bezpieczeństwa². Wielokrotnie w akcjach przeciwko milicji i Urzędowi Bezpieczeństwa ginęli ludzie po jednej i po drugiej stronie. Po jakimś czasie zostałem przerzucony do oddziału specjalnego, w którym przeprowadzaliśmy ludzi przez granicę.

Jak zakończyła się pana działalność ?

Zostałem ranny i aresztowany podczas próby wydostania się z „kocioł”³. Dla bezpieczeństwa każdy aresztowany walczący za Polskę był wrogiem. Nie będę opisywał bestialstwa moich śledczych, ponieważ znęcali się nade mną tyle, ile mogli, bez względu na porę dnia

1 WiN – zrzeszenie „Wolność i Niezawistość”, założona we wrześniu 1945 r. konspiracyjna organizacja polityczno-wojskowa, walcząca z polskimi komunistami, wspieranymi przez ZSRR.

2 Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, potocznie – Urząd Bezpieczeństwa (UB) – organizacja mająca na sumieniu dziesiątki tysięcy ofiar – komunistyczny urząd formalnie powołany do ochrony bezpieczeństwa państwa, a faktycznie zwalczający wszelkie formy oporu w okresie utrwalania władzy komunistycznej w Polsce.

3 „Kocioł” – pot. w konspiracji obława, zasadzka.

czy nocy. Byłem skazany na śmierć. Siedziałem na Kleczkowskiej¹ w celi, z której wyprowadzano na rozstrzelanie. W celi było nas czterech, z tego dwóch rozstrzelano. Moja matka walczyła o moje życie. Sprzedała wszystko, łącznie z mieszkaniem i wynajęła słynnego adwokata Maślankę², dzięki któremu karę śmierci zamieniono mi na 12 lat więzienia. Warunki były ciężkie i trudne, spaliśmy na gołym betonie, brakowało ubrań i było strasznie zimno. Pamiętam również, że co roku w Wielki Piątek podawano nam mięso. Na co dzień podawano nam zupę z brukwi pociętej w plastry i jakąś kaszę. Kiedy było święto lub niedziela, dostawaliśmy kaszę jęczmienną i gulasz z dorsza, który cuchnął, że się nie da opisać. Wielkie dorsze wrzucali do kotła pełnego gorącej wody, mieszała chochlą i polewali kaszę. To było niemal niejadalne, ale nie mieliśmy nic innego. Siedziałem w więzieniu siedem lat i siedem miesięcy. Wypuścili mnie dzięki amnestii w 1959 roku.

Jak wyglądało pana dalsze życie?

Po wyjściu z więzienia pierwsze, co rzuciło mi się w oczy to panie, które wydały mi się jakieś dziwne, okrągłejsze. Traktowano mnie wszędzie jak bandytę. Nie mogłem znaleźć pracy, a gdy się już gdzieś zaczepiłem, to po 3-4 dniach byłem zwalniany. Gdyby nie dobrzy, nieznanymi mi zupełnie zwykli ludzie, to nie wiem, jakbym przetrwał ten okres. Nie miałem nic. W 1989 roku reaktywowaliśmy WiN i to trwa do dziś³.

Jaki okres pan wspomina najlepiej?

Ten, kiedy powołano komendę weteranów WiN, w której zostałem

głównym komendantem, a także nasze pierwsze spotkanie z przedstawicielami władzy w Belwederze, z ówczesnym prezydentem Lechem Kaczyńskim i z innymi politykami.

1 W Zakładzie Karnym przy ul. Kleczkowskiej we Wrocławiu w okresie powojennym przetrzymywano, torturowano i dokonywano egzekucji członków podziemia niepodległościowego.

2 Mieczysław Maślanko (1903-1986) – słynny adwokat w sprawach politycznych po II wojnie światowej. Wypracował sobie opinię dobrego obrońcy, potrafiącego poprzez osobiste kontakty i możliwości pośredniego (pozaprawnego) działania wpłynąć na ostateczny efekt procesu.

3 Chodzi o Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość – Stowarzyszenie Społeczno-Kombatanckie.

Raciąż

„Mąż naszej nauczycielki
stawił się na ich żądanie
i dokądś go wywieźli. Już
nigdy nie wrócił, a ona
została sama.”

„Tej nocy wszystkich
wywieźli na roboty do
Niemiec. Taka była kara
za to, że wioska nie dała
podwody.”

„... chociaż piekło wojny
się skończyło i nastał
pokój, którego wszyscy tak
oczekiwali.

„Szanowaliśmy ich
wszystkich, nawet tych
nie lubianych.”

„Najbardziej z tamtych
czasów utkwilo mi to, że nic
nie było w sklepach oraz
pochody pierwszomajowe.”

„mieszkaliśmy u siebie, a na swoim,
nawet gdy jest ciężko, nie jest tak źle.”

„Wieczorem tego samego dnia
żandarmi wpadli do wsi i zaczęli bić
ludzi.”

„Wieczorem tego samego
dnia żandarmi wpadli do
wsi i zaczęli bić ludzi.”

„mieszkaliśmy u siebie,
a na swoim, nawet gdy jest
ciężko, nie jest tak źle.”

„Z mojego punktu
widzenia były to szczęśliwe
i beztroskie czasy.”

O cioci z Bergen-Belsen

**Anna Benkie, Natalia Gizler, klasa VII,
– Jan Arceusz**

Urodziłem się tuż po wojnie, ale w mojej rodzinie była ona wciąż żywa, bo rodzice często o niej opowiadali. Pamiętam, jak mówili o strachu, o najściach Niemców w domach, o ukrywaniu się.

Żywa była historia mojej cioci Marysi. Urodzona w 1915 roku siostra rodzona mojej mamy, została wywieziona do Niemiec, do obozu w Bergen-Belsen¹. Otrzymała nr 60. Posiadamy jej dokumenty wystawione w języku niemieckim. Pracowała w fabryce amunicji i szwalni. Miała tam znajomą, koleżankę z Sierpca, a także znajomych z Anglii i Belgii. Po wojnie otrzymywała kartki od koleżanki z Belgii, która kilka razy odwiedziła nas w Polsce. Ciocia pracowała ciężko całe dni w fabryce. Miała problemy z sercem. Jedna Niemka po kryjomu przynosiła jej leki i jedzenie. Więźniowie musieli posiadać odpowiednią przepustkę i ubranie, tak zwany pasiak, a na nim znaczek „P”, oznaczający więźniów narodowości polskiej. Na stopach mieli buty, na które ciocia mówiła „klumpy”, były to drewniaki. Spali w barakach na drewnianych łózkach. Obóz został wyzwolony 1945 r. przez wojska amerykańskie i angielskie i ciocia wróciła do Polski.

W mojej rodzinie był podział obowiązków. Mama zajmowała się domem i dziećmi, a tata był szewcem zarabiającym na utrzymanie rodziny. Nie miałem łatwego dzieciństwa. Nie było wygod jak w obecnych czasach ani żadnych udogodnień technicznych. Było ciężko z zaopatrzeniem w towary codziennego użytku, trudno było o jedzenie i w ogóle było szaro i trudno.

W wolnych chwilach bawiliśmy się w klasy, graliśmy w piłkę oraz

¹ KL Bergen-Belsen – niemiecki obóz koncentracyjny działający w latach 1940-1945. Przechowywano tam ponad 120 tysięcy więźniów, z których co najmniej 50 tys. zginęło.

w podchody. W Raciążu było też kino.

W szkole były obowiązkowe mundurki, a na nich tarcza naszyta na lewej ręce. Za przewinienia dostawało się tzw. „łapy” – czyli uderzania linijką w dłoń lub stawiano do kąta albo kazano zostawać po lekcjach. Gdy uczniowie źle się sprawowali do szkoły wzywano rodziców.

Uczniowie uczyli się pisać ołówkami, a później stalówkami w ob-sadce, które maczano w atramencie.

Dzieciństwo w niewoli

**Wojciech Bojanowski, klasa VII b,
– Bonawentura Mączewska**

Kiedy wybuchła wojna miałam 10 lat i skończone już cztery oddziały (klasy), bo poszłam do szkoły w wieku 6 lat. Mojego tatę polskie wojsko wzięło z końmi na podwodę¹. Wrócił w połowie września z Warszawy, kiedy wojskowi go puścili. Pamiętam też, że po nastaniu okupacji przychodzili do nas Niemcy i stale się o coś czepiali, a potem bili z byle powodu. Mimo to pierwsze dwa lata wojny nie były takie straszne, bo mieszkaliśmy u siebie, a na swoim, nawet gdy jest ciężko, nie jest tak źle. W jednym pokoju w naszym domu, który był niewyszykowany, pod podłogą była wkopana beczka i w niej rodzice przechowywali mięso. Z kartek byśmy nie wyżyli. Gdyby żandarmi odkryli ten schowek, to byłoby źle.

W naszej wsi było małżeństwo nauczycieli, którzy mieli małe dzieci. Kiedy wkroczyli Niemcy, wezwali nauczycieli na spotkanie. Mąż naszej nauczycielki stawił się na ich żądanie i dokąds go wywieźli. Już nigdy nie wrócił, a ona została sama.

Uczyła nas po kryjomu, chowaliśmy zeszyt pod ubranie, żeby nikt nie widział i biegliśmy do niej. Nasi rodzice dawali jej coś za naszą naukę i tak żyła z tymi małymi dziećmi.

Na początku nie brali nas do robót, ale tata, kiedy wyznaczał go sołtys, musiał jeździć na podwoły. Zimą woził kamienie do budowy dróg. Niemcy kazali rozbierać kamienne ogrodzenia we wsi. U nas w ogrodzie był taki kamienny murek, który kazali rozebrać i wywieźli na budowę drogi. Sąsiad miał długi kamienny płot, cały mu zabrali i wywieźli, bo kamień był im potrzebny.

¹ Podwoły – obowiązek dostarczenia na wniosek władz państwowych lub wojskowych konia z zaprzęgiem i woźnicą.

Sottys naszej wsi miał polecenie wyznaczać gospodarzy do podwo-
dy. Z biegiem czasu starano się go przekupić, żeby tylko kogoś innego
wyznaczył do podwoły. Raz w 1943 r. doszło do takiej sytuacji, że tylko
jeden gospodarz pojechał na wyznaczoną podwołę. Mieli wtedy wo-
zić jakiś nawóz. Żandarmi zażądali siedmiu furmanek, ale na miejscu
pojawił tylko jeden gospodarz. Wieczorem tego samego dnia żandarmi
wpadli do wsi i zaczęli bić ludzi. Dopadli też mojego dziadka i dotkliwie
go pobili.

Tej nocy wszystkich wywieźli na roboty do Niemiec. Taka była kara
za to, że wioska nie dała podwoły. My ze starszą siostrą Barbarą ucie-
kłyśmy i dlatego nas nie wywieźli. Mój tata miał tylko jedno oko i małe
dzieci, więc jego też oszczędzono. Rodzice starali się, żebyśmy mogli
zostać i pracować u siostry tatusia, którą przesiedlono z Kargoszy na
do naszej wioski. Mieliśmy na początku pracować u pewnego starszego
małżeństwa, które miało domek o dwóch izbach. W jednej mieliśmy
zamieszkać, ale to się szybko zmieniło.

Pewna Niemka pochodząca z północnego Pomorza, mieszkająca
w kolonii przy wsi Lekówiec, kilkanaście kilometrów od Grabienic prosiła,
żeby żandarmi przydzielili jej dobrego gospodarza, bo sama prowadziła
gospodarstwo. Więc przydzielono jej naszą rodzinę, a na naszą fortunę
przyszedł Polak, któremu wcześniej też odebrano gospodarstwo.

Bardzo krótko u niej mieszkaliśmy. Przydzieliła nam jedną izbę, ale
nie chciała, żebyśmy u niej mieszkali, bo jej młodsze dzieci bawiły się
z naszą matką siostrzyczką i rozmawiały po polsku, co ją bardzo złościło.
Szybko przenieśli nas do lichej chałupki we wsi. Stamtąd musieliśmy
codziennie chodzić do niej do pracy. Pracowałyśmy z moją siostrą, ale
nie płaciła nam, tylko naszemu tacie dawała jakieś grosze, które nie
starczyły na chleb. Ciocia przysyłała jedzenie i czasami trochę pienią-
dzy, a potem jeszcze dziadków do nas przysłali i mieszkaliśmy wszyscy
w tej chałupce, gdzie były trzy izby. Dziadkowie mieli jedną izbę, a my
mieszkaliśmy w dwóch. W kuchni było trochę ciepło i tam mieszkali tatuś,
mamusia i młodsze rodzeństwo, a ja z siostrą w izbie obok, gdzie otwór
okienny był bez szyby, a zasypany kolkami, czyli igliwem sosnowym

zebranych w lesie, zabezpieczonym patykami, żeby nie wypadło. Ta-
kie wypełnienie sprawiało, że w pomieszczeniu zawsze było ciemno.
Nie było w nim również żadnego piecyka, ani innej formy ogrzewania,
a nawet podłogi. Tylko w kuchni, gdzie spali rodzice był kawałek jakiejś
takiej posadzki. Ta Niemka podczas zimy dała nam tylko jedną furę torfu,
ale to było za mało. Na szczęście dla nas w lesie niedaleko pracowali
ruscy niewolnicy¹, którzy spali w stodole w tym samym siedlisku co my
i jeden z nich przynosił nam codziennie trochę drewna. Dzięki temu
nie zamarzyliśmy w tej chałupce.

Kiedy przyszedł czas zbiorów Niemcy zabrali tatusia na kopanie
okopów. Wtedy dopiero zrobiło się ciężko. Do Niemki trzeba było cho-
dzić codziennie, ale ona nic nam nie płaciła. Jej dzieci donosiły, kiedy
tylko usłyszały, że ktoś się skarży i raz spotkało to moją mamę, która
narzekała, że Niemka za mało nam płaci. W efekcie pewnej nocy do
domu przyszli żandarmi i zaczęli bić moją mamę. Dziadek w samych
kalesonach wybiegł z łóżka i zaczął krzyczeć „olaboga”, więc żandarmi
zajęli się jego „uciszeniem”. Bardzo go wtedy pobili, ale dzięki temu
mamusia uciekła. Gdyby nie dziadziuś, to by ją skatowali na śmierć.
Wszystko musiałyśmy robić u tej Niemki: krowy doić, pielnić, snopki
wiązać. A latem było strasznie: młócenie, wianie zboża² i zanoszenie
worków z ziarnem ze stodoły na poddasze jej domu. Taty nie było i cała
praca spadała na moją mamę, na mnie i siostrę. To były na szczęście
ostatnie miesiące wojny. Tatuś wrócił i opowiadał, że było źle, ale ci, co
byli u Rosjan opowiadali, że było gorzej, że wszyscy płakali.

Po wojnie, kiedy wróciliśmy do Grabienic nie zastaliśmy nic oprócz
kilku prosiaczków. Tamten Polak zabrał nam wszystkie konie i krowy.
Ale zostały nasze pola, dom i podwórze. Tata te świny utuczył i potem
rozdał rodzinie, bo oni nic nie mieli. Powoli trzeba się było wszystkiego
dorabiać, ale byliśmy znów na swoim.

1 Wobec sowieckich jeńców wojennych Niemcy nie stosowali żadnych zasad konwencji ge-
newskiej z 1929 r. o traktowaniu jeńców wojennych.

2 Zboże po zmłóceniu oczyszczano wstępnie w tzw. wialni.

Studniówka w stanie wojennym

Jakub Brdak, klasa VII

– tata Leszek Brdak

Czy pamiętasz jak się żyło w PRL?

Doskonale pamiętam tamte czasy. Urodziłem się na początku lat 60. ubiegłego wieku za czasów Władysława Gomułki¹, I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR². Był to bardzo trudny okres. Obywatele mieli pracę, ale żyło się bardzo ciężko. W sklepach można było kupić podstawowe artykuły, ale ludzi nie było stać na to, żeby je kupować. Słodycze to był rarytas tak samo jak wędliny, które jadło się tylko na święta. Ludzi stać było na artykuły podstawowe, reszta była w sferze marzeń. Pamiętam, że jadłem głównie chleb z wodą i cukrem, ze śmietaną albo z marmoladą bądź ze smalcem. Kiełbasa była w niedzielę, a szynka, schab czy polędwica tylko w święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. *Jak sobie pomyślę o świętach w czasach, gdy byłem dzieckiem, to przede wszystkim widzę kuchnię i gotowanie. Pamiętam żywą choinkę i jej strojenie, ale jednak najważniejsze było gotowanie i pieczenie. Wędzenie szynki i kiełbasy, kapusta, lepienie pierogów, pieczone mięso, mielenie sera na sernik i maku na makowce. Wszędzie w naszym skromnym mieszkaniu uwalniał się zapach wędlin i pieczonego mięsa, skosztowania których nie mogłem się doczekać.* No i oczywiście czekaliśmy na prezenty pod choinką. Były to głównie drewniane klocki albo drewniane samochody, które sprawiały nam ogromną radość.

Kiedy chodziłem do szkoły podstawowej w Raciążu, to większość moich kolegów przynosiło do szkoły kanapki ze smalcem albo

1 Władysław Gomułka ps. „Wiesław” (1905-1982) – polski komunista, I Sekretarza PZPR i faktyczny przywódca państwa polskiego w latach 1956-1970.

2 PZPR – Polska Zjednoczona Partia Robotnicza – istniejąca w latach 1948-1990 polska partia komunistyczna, która zmonopolizowała system polityczny w Polsce

margaryną, zawinięte w „Trybunę Ludu”¹. W mieście więcej było furmanek niż samochodów, a z tych ostatnich najwięcej było takówek i ciężarówek. Jeśli chodzi o ubrania, to było ich bardzo mało, a buty mama kupowała mi raz na kilka lat. Ogólnie rzecz biorąc ludziom żyło się bardzo biednie, ale wydaje mi się, że byli szczęśliwi, życzliwi wobec siebie, radośni i uśmiechnięci. Panowała wielka kultura wśród ludzi. Uważam również, że było bardzo bezpiecznie.

A jak wyglądało życie w latach 70. i 80.?

W latach 70. za rządów Edwarda Gierka w Polsce bardzo się poprawiło. W sklepach można było kupić wszystko, nawet banany czy pomarańcze. Społeczeństwo zarabiało więcej pieniędzy, każdy miał pracę. Ludzie kupowali sobie telewizory, wtedy jeszcze czarno-białe, gramofony Bambino, pralki Frania, a nawet samochody. Mój tata w 1973 roku kupił pierwszy samochód, enerdowskiego Trabanta. Radość była przeogromna. Stać nas było na wczasy, jeździliśmy głównie na Mazury, a nawet na budowę domu jednorodzinnego. Także innym ludziom w tamtym okresie bardzo się poprawiło. Stać było prawie wszystkich na jedzenie wędlin i słodyczy na co dzień. W latach 80. wszystko się popsuło. Latem 1980 roku całą Polskę ogarnęły strajki². Zapoczątkowane zostały wprowadzoną przez władze podwyżką cen na niektóre gatunki mięsa. Sprawa ta rozpoczęła łańcuch wydarzeń, które w zasadniczy sposób zmieniły historię. Rozpoczęły się strajki w wielkich zakładach pracy, ale ludzie w mniejszych miastach i wioskach nie za bardzo wiedzieli, o co chodzi robotnikom. W sklepach brakowało towarów

1 „Trybuna Ludu” – dziennik wydawany w Warszawie w latach 1948-1990. Był to organ prasowy rządzącej w Polsce partii komunistycznej.

2 Do czasów objęcia rządów przez Edwarda Gierka (1913-2001) w roku 1970 zadłużenie Polski było na relatywnie niskim poziomie. W ciągu 5 lat wzrosło gwałtownie, co podwyższyło w krótkim czasie standard życia w Polsce; jednak już w 1976 roku doszło do załamania i prób wprowadzenia drastycznych oszczędności, zakończonych protestami społecznymi. Władze ratowały się, sprzedając za granicę po obniżonych cenach produkcję rolną, co spowodowało braki w sklepach. Długi zaciągnięte w latach 70. XX wieku Polska spłacała do 2012 roku.

pierwszej potrzeby. Władze wprowadziły reglamentacje towarów: mięsa, wędlin, cukru, kaszy, butów, papierosów, wódki i innych. Ludzie kupowali raz na miesiąc na kartki. Wyjście do sklepu to była wielka wyprawa połączona z walką o towar. Powstawały komitety kolejkowe, można było sobie kupić miejsce w kolejce, a nawet tzw. „stacza”, który potrafił całą noc stać za kogoś pod sklepem.

Skąd ludzie brali towary, skoro nie było ich w sklepach?

Radzili sobie na różne sposoby. Łatwiej było na wsi i w mniejszych miasteczkach. Dziadek miał hodowlę trzody chlewnej, co miesiąc był ubój i wyrób własnych wędlin. Ludzie z miast kupowali od rolników tuczniki, porcjowali i zamrażali. Bardzo pomocne było wówczas posiadanie szerokiej sieci znajomości. Kto miał znajomego lub rodzinę pracującą w sklepie bądź innych magazynach, miał łatwiejszy dostęp do różnych towarów. Mój kolega z RaciąŜa miał kuzyna pracującego w Zakładach Przemysłu Tytoniowego w Radomiu. Zawoziłem go tam, a on załatwiał papierosy. Mieliśmy pieniądze na towar (na pierwszy pożyczylimy od rodzin), ładowaliśmy całą bagażnik i jeździliśmy na Mazury, gdzie w sklepach geesowskich dokonywaliśmy wymiany na inne towary, których w RaciąŜu nie można było dostać, jak konserwy rybne, mięsne, czekolada, cukierki. Spirytus, potrzebny do wyrobu alkoholu, załatwialiśmy w gorzelni w Nidzicy, której dyrektorem był nasz krewny. Po sprzedaży towaru w RaciąŜu lub okolicach z dużym zyskiem kupowaliśmy dolary bądź bony i za nie robiliśmy zakupy w „Peweksie”, sklepie z artykułami z zagranicy, z tzw. Zachodu. Mieliśmy wtedy po 18, 19 lat i stać nas było na markowe towary. Paliliśmy Marlboro, Lordy, More, Camele czy inne, niedostępne wówczas na rynku papierosy, piliśmy piwo w puszkach, których w polskich sklepach wówczas nie było. Przy podzieleniu zysków stać nas było także na zakup spodni dżinsowych, takich jak Wrangler czy Lee. Dlatego tamten ogólnokrajowy kryzys dla nas osobiście nie był straszny.

Proszę opowiedz o swojej pracy zawodowej w okresie PRL-u.

Moją pierwszą pracę podjąłem w roku 1984. Zostałem nauczycielem

języka polskiego w Szkole Podstawowej w Krajkowie. Pracowała tam w przeważającej większości młoda kadra, bardzo zgrana i sympatyczna. Dzieci w tamtych czasach miały duŜy szacunek do nauczycieli. Lata spędzone w tej szkole wspominam bardzo miło. Pracując w szkole równocześnie zostałem wybrany komendantem Hufca ZHP w RaciąŜu. Organizowałem obozy harcerskie w Polsce i za granicą, głównie w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Pod koniec lat osiemdziesiątych organizowałem wyjazdy dla instruktorów ZHP do Austrii i Związku Radzieckiego. Do Wiednia wyjeźdzaliśmy dwa razy w miesiącu. Były to wyjazdy szkoleniowe, ale wykorzystywaliśmy je w celach handlowych. Z Austrii przywoziliśmy towary niedostępne w Polsce tj. odtwarzacze, magnetowidy VHS, radiomagnetofony typu „jamnik”, odtwarzacze kaset magnetofonowych na słuchawki typu „walkmen” i inne artykuły. Gospodarka komunistyczna, a zwłaszcza niedobór towarów na rynku doprowadzała do tego, że obywatele radzili sobie sami.

A czym zajmowała się młodzież po szkole, jakie były obowiązki dzieci i jak spędzały swój wolny czas?

Nie mieliśmy komputerów ani internetu, a w telewizji były tylko dwa programy. Dzieci i młodzież przebywała głównie na podwórkach, gdzie grali w piłkę lub w inne gry, w chowanego, w wojnę, w gumę. Starsza młodzież słuchała muzyki z magnetofonu czy gramofonu. Szkoły lub domy kultury organizowały też dyskoteki. W wakacje część dzieci i młodzieŜy dorabiała sobie przy zbiorach jagód i owoców, by móc wyjechać na obóz lub kolonie.

Dzieci miały poza tym wiele obowiązków, musiały pomagać rodzicom w domu, zajmować się młodszym rodzeństwem, a nawet ciężko pracować, głównie na wsi.

Jakie zabawne zdarzenie pamiętasz z czasów PRL?

Przypomina mi się takie śmieszne i zarazem niebezpieczne zdarzenie, o którym mogę opowiedzieć. Była to zima 1982 roku, stan wojenny i moja studniówka, która trwała od godz. 13.00 do 20.00. W takiej dziwnej porze, ponieważ od 22.00 do 6.00 obowiązywała godzina milicyjna

i nie można było się wówczas nigdzie poruszać bez specjalnej przepustki. Nasza paczka z Liceum Ogólnokształcącego w Raciążu postanowiła więc po studniówce przenieść się do domu jednej z koleżanek, u której zorganizowaliśmy prywatkę. Była to miła impreza z muzyką i tańcem. Około godziny 4.00 rano nasz kolega Mirek ubzdurał sobie, że idzie do domu. Nie pomagały żadne tłumaczenia, że jest godzina milicyjna i może go złapać patrol. Uparł się i wyszedł. Nie chcieliśmy jednak zostawiać go samego, więc postanowiliśmy go z dwoma kolegami odprowadzić. Dochodząc do rynku głównego zauważył nas pięcioosobowy patrol ZOMO, który z długimi pałkami ruszył biegiem w naszym kierunku. Postanowiliśmy uciekać z powrotem do mieszkania koleżanki. Wtedy, nie wiadomo skąd, wyrósł przed nami inny patrol ZOMO, tym razem składający się z trzech funkcjonariuszy. Wpadliśmy w panikę, każdy z nas uciekał w inną stronę i w inną ulicę. Zomowcy uzbrojeni w pałki i broń krótką też się rozdzielili goniąc nas uliczkami, które w tamtych latach nie były tak oświetlone jak obecnie. Mieliliśmy nad nimi przewagę, bo znaliśmy każdą bramę i każdy kąt, byliśmy lżej ubrani no i młodszy od nich. Po kilkuminutowym pościgu zgubiłem dwóch funkcjonariuszy i zdyszany, przerażony wróciłem do koleżanki na imprezę. Pozostałym uczestnikom prywatki opowiedziałem o całym zdarzeniu. Była godzina 5 rano, wyłączyliśmy magnetofon z muzyką, oświetlenie i wszyscy rzuciliśmy się do okien oczekując pozostałych kolegów. Po kilku minutach wróciło dwóch pozostałych przyjaciół, ale brakowało Mirka. Byliśmy przekonani, że złapali go. Atmosfera zrobiła się fatalna. Zastanawialiśmy się tylko, czy mocno go zbiją i czy wyda pozostałych, którzy im uciekli. Byliśmy załamani. Myśleliśmy, że unieważnią nam maturę, że wyrzucą ze szkoły. Około godziny 6.30 postanowiliśmy wracać do domu. Wychodząc z domu koleżanki zobaczyliśmy zmarzniętego, trzęsącego się Mirka. Okazało się, że chłopak uciekając przed milicją, wczłogał się pod jakiś zaparkowany samochód i tam przeleżał aż do końca godziny milicyjnej. Uradowani wróciliśmy z powrotem do środka i studniówka przeciągnęła się jeszcze do południa.

Pamiętam smak biednego życia

Adrianna Brodowska, Aleksandra Cieślak, kl. VII

– Marianna Todryk oraz relacja śp. Krystyny Kowalskiej

Czy pamięta pani wojnę?

Byłam zbyt mała, gdyż urodziłam się w 1943 r., ale sama siebie nazywam „dzieckiem wojny”, bo o wojnie opowiadali mi rodzice oraz starsze rodzeństwo, które ją przeżyło.

W czasie wojny Niemcy stworzyli w Raciążu tzw. gubernię. Wysiedlili stąd wielu ludzi, by w ich prywatnych domach osiedlać niemieckie rodziny. Wśród niechcianych Polaków znaleźli się również moi rodzice i pięcioro rodzeństwa. Zostali wysiedleni do Kraśnika, gdzie *mój starszy brat zebrał* by pomóc rodzinie. Po pewnym czasie nielegalnie wrócili do swojej miejscowości. Za ten akt nieposłuszeństwa moi rodzice zostali zabrani do obozu w Działdowie.¹

Jakie warunki panowały w tym obozie?

Makabryczne, ludzie żyli w brudzie, byli głodni, chorzy, a do tego jeszcze bici. W tym samym czasie uwięzieni tam byli biskupi płoccy i wielu innych duchownych, Polaków oraz Żydów. Dla moich rodziców była to ogromna tragedia, ponieważ pięcioro mojego rodzeństwa zostało u babci, która była już wówczas wdową.

Jak dała sobie radę z dziećmi?

W miarę swoich możliwości i z pomocą dobrych ludzi opiekowała się nimi, jak tylko mogła. Jednak los był nieubłagalny i z powodu złych warunków zmarła nasza najmłodsza siostra.

Czy rodzice mieli możliwość jakiegoś kontaktu z dziećmi i resztą rodziny?

Przez dwa lata nie mieli kontaktu z rodziną, ponieważ okres, w którym przebywali w Działdowie, był jednym z najcięższych. Po

1 KL Soldau – niemiecki-nazistowski obóz koncentracyjny funkcjonujący w latach 1939-1945.

dwuletniej gehennie obozowej zostali wysłani do robót w niemieckim gospodarstwie. Mama trafiła do Niemca, który okazał się dobrym człowiekiem i to on pomógł jej wrócić do dzieci. Tata również przeżył wojnę, ale wrócił dopiero po jej zakończeniu. W czasie pracy u Niemców rodzice kontaktowali się ze sobą i częściowo z rodziną.

Nadszedł koniec wojny. Jak żyliście?

Było nam bardzo trudno, bo nie mieliśmy domu. To znaczy właściwie był, ale tak zniszczony, że nie nadawał się do zamieszkania. Cierpieliśmy potworny głód, który ja już dobrze pamiętam. Jednak pomimo głodu była radość, ponieważ w końcu byliśmy razem, a bardzo się kochaliśmy. Wkrótce starsze rodzeństwo i ja rozpoczęliśmy naukę. *Żyliśmy z tego, co dorywczo zarobił tata lub brat. Nasza rodzina liczyła wówczas osiem osób. Bardzo często pomagali nam w różny sposób dobrzy ludzie. Pamiętam jednak smak biednego życia. Pamiętam też zakłamaną historię w szkole. Pamiętam Bieruta, Stalina i Rokossowskiego. Dożyłam na szczęście czasów, kiedy historia, ta prawdziwa, ujrzała światło dzienne.*

Opowieść śp. Krystyny Kowalskiej, na podstawie pamiętników pozostawionych rodzinie.

Podczas przemówienia burmistrza [Raciąża] w dniu ataku Niemiec na Polskę, Niemcy zrzucili bombę na łąki pomiędzy kościołem a stacją kolejową. Ludzie zaczęli uciekać do domów. Wieczorem mój tata stał w drzwiach i nie chciał nikogo wypuścić. Ja, będąc ciekawską dziewczynką, wcisnęłam się pomiędzy ręce ojca i zobaczyłam na niebie wielką czerwoną tunę oraz usłyszałam huk wybuchających pocisków i granatów. Zaczęłam płakać, byłam przestraszona. Na drugi dzień do Raciąża przybyli uchodźcy z Mławy, którzy uciekali za Wisłę przed Niemcami. Wierzono wówczas, że Niemcy przez Wisłę nie przejdą. Ja i mama wraz z rodziną uciekliśmy na wieś do Ciesiel. Uchodźcy byli w Raciążu dwa dni, a potem ruszyli dalej. W poniedziałek 4 września Niemcy zajęli Raciąż. Zebrali dzieci i kazali im pielic łyżkami bruk na rynku. Szkoły zamknięto. Dzieci uczyły się w domach po kryjomu. Żydzi zostali wysiedleni. Niemcy chodzili po domach i w pół godziny kazali im się spakować, a potem udać się do synagogi. Zanim zaprowadzili ich do pociągu musieli oddać wszystkie pieniądze i kosztowności. Potem zaczęła grać orkiestra i zaprowadzono ich do pociągu.¹

Jako młoda dziewczyna trafiłam na plantacje rośliny, której nazwy nie pamiętam. Plantacja była położona pomiędzy Raciążem a Łępinem. Było tam ponad sto osób, które zajmowały się pieleniem. Potem pomagałam w opiece nad dzieckiem u rodziny Volksdeutsche. Żle się czułam, opiekując się tym dzieckiem.

W 1944 roku w Raciążu stacjonowała niemiecka kompania

1 Żydów raciąskich wysiedlono w listopadzie 1939 r. do Warszawy i Płocka. W maju 1940 r. założono w Raciążu niewielki obóz pracy. Przebywali w nim obok Polaków także Żydzi. Przeciwnie więziono tam naraz 20 osób. Więźniowie pracowali przy kopaniu torfu i naprawie dróg. Ogółem przez obóz przeszło około 100 osób. Został on zlikwidowany w sierpniu 1942 roku. Więźniów przewieziono do Sierpca (źródło: Wirtualny Sztetl)

przedfrontowa. Zatrzymała się w rzeźni na ulicy Rzeźnianej w domu Ukrainki, która została wywieziona do obozu koncentracyjnego. Nie wszyscy Niemcy byli źli, niemiecki kucharz pomagał Polakom. Za jego kuchnią były kolejki. Kiedy została mu zupa czy mięso, dawał je Polakom.

Pewnego dnia Niemcy zabrali część mieszkańców do kościoła – byłam wśród nich. Gdy nas wypuścili, przed kościołem stały wozy, na które nas załadowano. Zawieźli nas pod Płock, a potem jeszcze do Wyszogrodu. Siostra i brat zepchnęli mnie z wozu, ponieważ stwierdzili, że beze mnie będzie im lżej. Przy drodze stała mała chatka, do której wbiegłam i się ukryłam. Pani mieszkająca w tej posiadłości dała mi jeść i pozwoliła przenocować.

W czasie okupacji okna w domu musiały być zastonięte i nie wolno było palić światła. Nauczycieli, lekarzy, urzędników z naszego miasta wywieziono do obozów koncentracyjnych. Obowiązywał zakaz uboju. Kiedyś Niemcy zaprosili mnie na obiad. Dostałam kotleta schabowego i czerwoną kapustę. Nic nie zjadłam. Potem zostałam wysłana po kawę. Niemiec Hans dał mi garnek i zaniostałam kawę w garnku. Bardzo się bałam. Na szczęście Niemcy nic mi nie zrobili. Po tym zdarzeniu powiedziałam, że nie będę już pracować u tych oficerów. Poszłam do Niemców na kuchnię i obierałam ziemniaki. Jeden z oficerów poszedł za mną, ale gdy zobaczył, że obieram ziemniaki, spojrzął tylko i odszedł.

Moja rodzina po raz drugi uciekała z Raciąży, tym razem przed Rosjanami. Uciekaliśmy w kierunku Bud Kraszewskich. Niestety, okazało się, że zamiast uciec, weszliśmy w sam ogień walki. Niewielki oddział Niemców zatrzymał się w Kraszewie. Przyszli Rosjanie. Oficer rosyjski wyciągnął mapę i mówił o Kraszewie. Niemcy stawili opór. Słychać było odgłosy walki, znów zobaczyłam czerwoną łunę i zaczęłam płakać. Nad ranem wszystko ucichło. Po bitwie w Kraszewie zabitych Rosjan położono na środku rynku, a na wierzchu ułożono ciało dziecka.

Nie lubię wspominać tamtych czasów, ale bardzo się cieszę, że historie ludzi, którzy przeżyli tamte czasy mogą być teraz opowiadane.

PRL miał złe, ale i dobre strony

Ida Dąbrowska, klasa VII

– babcia Anna Dąbrowska

Urodziłam się w 1956 r. w Raciąży i tu mieszkam od urodzenia. Pracowałam w tutejszym przedszkolu.

Moje dzieciństwo i młodość przypadło na czasy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, dziś przeważnie ocenianej negatywnie, choć ja nie potrafię jednoznacznie ocenić tego okresu. Z mojej perspektywy ten ustrój miał swoje złe i dobre strony. Nie jest prawdą, że w PRL działały się tylko złe rzeczy. Było źle i dobrze, w zależności od której strony spojrzeć. W sklepach było niewiele produktów, ale w potrzebne rzeczy można było się zaopatrzyć. Obok sklepów państwowych działały również prywatne, zaopatrzone tak jak i państwowe. Prywatne były dłużej otwarte, a właściciele otwierali je również w niedzielę, gdy sklepy państwowe w tym czasie były zamknięte.

Łatwiej było dostać się do lekarza, z czym teraz jest większy problem. Ja tych czasów nie wspominam wcale tak źle, jak przedstawiają to w telewizji czy w radiu.

Okresu strajków i protestów w latach 70. i 80. nie pamiętam tak dobrze, być może dlatego, że działały się głównie w Gdańsku, ale w takich małych miasteczkach jak Raciąż nie było żadnych demonstracji. Ludzie w Raciąży nie występowali oficjalnie przeciwko władzy, nie wychodzili na ulicę, jak to robili w dużych miastach, gdzie były wielkie fabryki i inne duże zakłady pracy. Raciąż to była niewielka społeczność, która się po prostu nie wychylała, być może z obawy o swoich bliskich, a być może ze strachu przed konsekwencjami. W większych miastach owszem ludzie się skrzykiwali, ale nie tutaj. Ani ja, ani żadna osoba z mojej rodziny nie należeliśmy do „Solidarności”. Takie są moje wspomnienia z tamtych czasów.

Pytałaś mnie również o historię Żydów w Raciąży. Zostały po nich

tutaj tylko ślady. Cała ulica Kilińskiego, budynki już nieistniejące zaraz za Urzędem Miasta to były budynki należące do Żydów. To Żydzi stawiali te domy. Stara, już zamknięta szkoła kiedyś była synagogą. Po wojnie, gdy tylko niewielu Żydów wróciło do Raciąża¹ przebudowano synagogę na zespół szkół, do którego chodziła część mieszkańców Raciąża. Swego czasu, gdy byłam już osobą dorosłą, przyjechała do Raciąża grupa Żydów i oglądali ten budynek. Rozmawiali z władzami miasta, załatwiali sprawy w miejskim ratuszu oraz w kancelarii parafialnej. Czym to się skończyło, nie wiem.

¹ Po wojnie do Raciąża wróciło około dziesięciu Żydów, którzy przetrwali okupację. W sierpniu 1945 w wyniku napadu pięcioro z nich zostało zamordowanych. (źródło: raciaz.eu)

Wojna i komunizm

Kinga Długoszewska, klasa VII

– Henryk Długoszewski

Urodziłem się 1938 roku w miejscowości Folwark Raciąż. Miałem zaledwie rok, kiedy zaczęła się wojna. Pamiętam z niej do dziś, jak Niemcy gonili uciekiniera, który chował się w lesie koło mojego domu. Pamiętam również kobietę, która chciała ukryć mięso dla swojej rodziny, a Niemcy ją aresztowali. Głęboko utkwily w pamięci małego wówczas chłopca takie właśnie obrazy okresu okupacji niemieckiej. Mam przed oczyma również strzelaninę w okolicach Raciąża.

Pewnego razu, gdy byłem już trochę starszy, szedłem z moim bratem na przystanek, gdzie natknęliśmy się na Niemca. Mój brat od razu zdjął mi czapkę i kazał się przywitać, bo gdybym tego nie uczynił mógłbym zostać dotkliwie pobity. Niemcy często przyjeżdżali na wieś, a moja mama strasznie się ich bała. Mogli pod byle pretekstem rozstrzelać całą rodzinę. Tuż po wojnie kilku Niemców pracowało przez krótki czas u mojego ojca, nigdy nie wiedziałem dlaczego i co się z nimi później stało.

19 stycznia 1945 roku zobaczyłem zupełnie inną armię: do mojej miejscowości wkroczyli radzieccy żołnierze z czerwonymi gwiazdami na mundurach. Przybyli na nasze podwórko z armatami. Bardzo się bałem, chciałem się schować, ale spanikowałem tak bardzo, że nie wiedziałem co mam zrobić i stałem nieruchomo sparaliżowany. Jednak wielu ludzi cieszyło się, więc pomyślałem, że nadchodzą lepsze czasy. Okazało się jednak, że nie będzie tak radośnie, chociaż piekło wojny się skończyło i nastał pokój, którego wszyscy tak oczekiwali.

Kiedy nastał komunizm również było nam ciężko, tym bardziej, że byliśmy wielodzietną rodziną. Obciążono nas obowiązkowymi dostawami

plodów rolnych dla państwa¹, dlatego nasza sytuacja była bardzo trudna, zresztą sytuacja innych rolników także. Starsza młodzież była zabierana do SP, czyli Służby Polsce, a nie było wtedy żadnej mechanizacji i liczyła się każda para rąk do pracy.

Komuniści dawali na początku wiele: ziemię chłopom, bezpłatną edukację czy opiekę zdrowotną, ale żądali bezwarunkowego posłuszeństwa. To rozdawnictwo miało jeden cel: podporządkowanie obywateli totalitarnej władzy. Szerzyli ideologię marksistowską zupełnie obcą dla naszej kultury. Obywatele buntowali się przeciwko takiej władzy, która tak naprawdę myślała tylko o utrzymaniu się za wszelką cenę przy sterach rządu. Pamiętam również strajki oraz stan wojenny 1981 roku. W miastach i wioskach były warty, co oznaczało, że nie można było wychodzić z domu bez przepustki po godzinie 22:00.

W roku 1989 komuniści oddali władzę i rozpoczęła się budowa nowej Polski, prawdziwie niepodległej, w której teraz życie i będziecie ją rozwijać.

Osobiście nie życzę nikomu takich przeżyć, jakie miałem w młodości, to były bardzo trudne lata dla mnie, dla mojej rodziny i Polski.

¹ Dostawy obowiązkowe zostały wprowadzone w Polsce dekretem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego w 1944 roku jako wojenne świadczenia rzeczowe rolnictwa – obejmowały one żyto, pszenicę, jęczmień i owies, ziemniaki, rośliny strączkowe, rośliny oleiste, siano, słomę i zwierzęta rzeźne.

Z nadzieją na lepsze jutro

Kacper Grzankowski, kl. VIII

– **Jadwiga Buczkowska**

Czy pamięta pani wybuch II wojny światowej?

Miałam wtedy dwa lata, więc pamiętam tylko, że od rodziców dowiedziałam się o wybuchu wojny. W całej rodzinie wybuchł strach i rozpacz.

Jak zapamiętała pani okupację?

Stosunek Niemców do Polaków był bardzo zły, za najmniejsze przewinienia od razu było bicie. Obecnie w miejscu, gdzie na ulicy Kilińskiego jest straż pożarna, znajdował się areszt, do którego brali ludzi za każde przewinienie, a na ulicy Warszawskiej była komenda gestapo.

Kto miał gorzej podczas okupacji: Polacy czy Żydzi?

Definitywnie Żydzi. Byli oni przez Niemców bardzo znienawidzeni. Brali ich do prac np. do zamykania targu, który był w miejscu dzisiejszego parku obok urzędu. Na ulicy Kilińskiego znajdowała się synagoga, ale Niemcy zakazali Żydom się tam modlić i zrobili w niej magazyn.

Czy przez cały czas wojny mieszkała pani w Raciążu?

Tak, przy ulicy Warszawskiej. Z okupacji nie mam najlepszych wspomnień o Niemcach. Pamiętam, że brali nas do sprząwania i wiwatowania, gdy co wtorek i piątek w Kaczorowach przejeżdżali niemieccy oficerowie. Był też pewien Niemiec znający trochę język polski, który przychodził do moich rodziców i uczył mnie podstaw języka niemieckiego.

Jak traktowali was Sowieci podczas wyzwolenia Polski ?

Gdy Rosjanie weszli do Raciąża byli tak zawszeni, tak głodni, tak niekulturalni, że miałam wrażenie, że byli nie z tej ziemi. Pamiętam jedno dramatyczne zdarzenie. Pewnego dnia po wkroczeniu

czerwonoarmistów razem z babcią uratowaliśmy pewną dziewczynę od gwałtu. Wysoki stopniem rosyjski żołnierz nocował u nas i gdy moja babcia zobaczyła, że chce zgwałcić młodą dziewczynę, wzięła widły i zaczęła mu grozić, że jeśli jej nie puści, to go nimi przebije. Ostatecznie puścił ją.

Na rogu ulicy Mławskiej Rosjanin zastrzelił młodego Ukraińca za to, że był przebrany w mundur Wehrmachtu. Ten młody Ukrainiec tłumaczył mu, że Niemcy go złapali, że musiał nosić ten mundur. Rosjanin go jednak zastrzelił. Pamiętam, że pomyślałam w tamtym momencie „gorszy niż Hitler, gdyż zabił swojego”.

Ale potem sytuacja w Raciążu polepszyła się. Rozwinął się handel. Polacy zaczęli otwierać sklepy i poprawiło się, ale – jak to się mówi – pod batem.

Czy po wojnie była duża bieda?

Mniejsza niż przed wojną i w czasie wojny. Ten, kto zasiał coś na swoim polu, mógł zatrzymać to dla siebie. Oczywiście jakąś część trzeba było oddawać również państwu, ale cieszyliśmy się bardzo, że skończyła się wojna. Niektórzy dorośli długo świętowali. Zapamiętała radość i nadzieja na lepsze jutro.

Bez obawy mówię o przeszłości

Kacper Jędrzejewski, klasa VII

– Marek Leszczyński

Właśnie mija 30 lat od upadku komunizmu w Polsce. Czy opowie mi pan o tym okresie naszej historii?

Życie w czasach PRL-u wyglądało różnie, w zależności od kontekstu. Wszyscy mieli pracę, co było dobre. Praca była na miejscu i nikt nie musiał nigdzie jeździć i jej szukać. Z drugiej strony w sklepach nic nie było. Większość towarów była na kartki, które dorośli dostawali w zakładach pracy. Nie można było sobie kupić czegoś więcej ani mniej. Dostawało się tyle, ile było z przydziału. Nie zawsze wystarczało dla wszystkich. Nawet jeżeli ludzie mieli kartki, to nie zawsze mogli kupić to, co chcieli.

Jak wyglądała szkoła w tamtych czasach?

Była większa dyscyplina i skromne wyposażenie: ławka, tablica, kreda. Nie było multimediiów, komputerów, tablic czy nawet radia. Dzieci uczyły się z tych samych książek, ponieważ w całej Polsce były jednakowe podręczniki do każdego przedmiotu przez osiem lat szkoły podstawowej. Można było je otrzymać po starszym rodzeństwie a potem jeszcze oddać młodszemu. Nie było „orlików”¹ ani sal tak dobrze wyposażonych w sprzęt, jak teraz. Przed szkołą było tylko betonowe boisko, i na tym boisku mieliśmy lekcje wuefu albo biegaliśmy wokół szkoły. Kiedy było dużo dzieci, to lekcje wuefu odbywały się nawet na korytarzu.

Jak wyglądali uczniowie?

Typowy uczeń wyglądał schludnie i przyzwoicie. Wszyscy ubierali się

1 „Moje Boisko – Orlik 2012” – ogólnopolski program rządowy z lat 2008-2012, mający na celu nadrobienie wieloletnich zaległości w budowie infrastruktury sportowej dla dzieci i młodzieży. We wspomnianym okresie wybudowano w całej Polsce ponad 2600 obiektów tego typu.

tak samo, mieli mundurki, w których chodzili do szkoły. Zazwyczaj granatowe, chłopcy krótkie do pasa, dziewczynki trochę dłuższe, z białym kołnierzykiem. Na mundurku mieliśmy naszytą tarczę z numerem i nazwą szkoły. Nie można było malować paznokci ani farbować włosów, nosić fantazyjnych fryzur, według mnie każdy wyglądał schludnie. Zawsze trzeba było mieć buty na zmianę w worku, a przy wejściu do szkoły woźna sprawdzała, czy dziecko ma obuwie na zmianę. Jeśli nie, trzeba było iść z powrotem do domu po obuwie.

Uważam, że w tamtych czasach nauczyciel był autorytetem dla ucznia. Stosowano kary. Jeżeli uczeń był niegrzeczny, to nauczyciel bił go linijką po rękach. Mógł też zmusić do napisania sto razy w zeszyte zdania: „Nie będę rozmawiał na lekcji” i na drugi dzień trzeba było zeszyt przynieść i pokazać, że sto razy przepisane zdanie. W ten sposób utrzymywano dyscyplinę.

Jak pan spędzał czas wolny po szkole?

Czas wolny spędzaliśmy na dworze. Umawialiśmy się, żeby grać w różne gry i zabawy, biegaliśmy do wieczora, ciężko nas było do domu zagonić. Mama przywoływała nas, abyśmy wracali, ale my woleliśmy zostać we własnym gronie nawet po zmroku. Bawiliśmy się w podchody, graliśmy w piłkę za blokiem i na łące. Jak byłem starszy, to graliśmy również w kapsle na rondzie w Raciążu, tam gdzie teraz są klomby. Stała tam kiedyś duża fontanna z takim murkiem i na nim rysowaliśmy kręte tory dla kapsli. Graliśmy, kto pierwszy dotrze po torze swoim kapslem do mety. Przeważnie wszyscy byli szczupli, wysportowani i prawie nikt nie przesiadywał w domu. Nie mieliśmy krzywych kręgosłupów, bo wszyscy aktywnie spędzaliśmy czas biegając lub grając w piłkę.

Co się oglądało w telewizji?

W tamtych czasach w telewizji dla dzieci były programy edukacyjne typu „Teleranek”, czy „Pan Tik Tak”. Były tylko dwa kanały – jedynka i dwójka – nie było żadnych innych stacji, telewizja była państwowa. Dla dorosłych był „Dziennik telewizyjny”, który był głównym źródłem

informacji dla zwykłego obywatela, albo serial „Niewolnica Izaura”.

Czy chciałby pan wrócić do tamtych czasów?

Z pewnością chciałbym wrócić do lat dzieciennych, bo nie było tyle zazdrości, ludzie spotykali się i bawili razem. Dorośli też więcej czasu spędzali ze sobą, odwiedzali się.

Z drugiej strony nie było nic w sklepach, nie można było nic kupić. Pod tym względem teraz jest dużo lepiej. Wszystko można sobie kupić. Jest dużo wolności: każdy żyje jak chce. W komunizmie tak nie było. Była cenzura, nie można było się swobodnie wypowiadać i nie wszystko można było napisać. Teraz mogę bez obaw opowiadać o tamtych czasach, wtedy mógłbym powiedzieć tylko to, co było dobre dla władzy.

Co najbardziej panu utkwilo w pamięci z tamtych czasów?

Najbardziej z tamtych czasów utkwilo mi to, że nic nie było w sklepach oraz pochody pierwszomajowe¹. Co roku na 1 maja wszystkie zakłady pracy wystawiały delegacje. Obowiązkowo trzeba było iść na pochód z biało-czerwoną chorągiewką, w eleganckim ubraniu. Przez miasto przechodził wtedy barwny korowód, a potem były zawody sportowe, w których zakłady pracy grały mecze między sobą.

¹ Uczestnictwo w pochodzie z okazji święta 1 maja było obowiązkowe m.in. dla robotników, uczniów i studentów.

Dom na Rzewuskiego

Ewelina Kwiatkowska, kl. VII

– dziadek Włodzimierz Kwiatkowski

Urodziłem się w 1943 roku i pochodzę z małej wsi Żychowo w gminie Raciąż. Moi rodzice, mama Franciszka oraz tata Zygmunt, prowadzili gospodarstwo.

Słyszałem od nich opowieści o wojnie. Na przykład o rodzonym bracie mojego taty Ignacym, który pracował w policji. W czasie wojny dostał się do sowieckiej niewoli i został wywieziony do Ostaszkowa¹ w Rosji, gdzie został zastrzelony wraz z tysiącami innych polskich policjantów i oficerów wojska. Pochowano go na cmentarzu w Miednoje. Pamiętam także historię, którą mama opowiadała mi, że jeszcze w Żychowie po sąsiedzku mieszkał Wiktor Stryjewski pseudonim „Cacko”, partyzant, po wojnie „żołnierz wyklęty”, który walczył z ustrojem komunistycznym. Wcześniej był w Armii Krajowej oraz w wojsku polskim, walczył w kampanii wrześniowej 1939 r.

Dobrze wspominam swoje dzieciństwo w Żychowie. Niemal codziennie cała wioska grała w piłkę. W 1950 r. rozpocząłem naukę w szkole, a moim ulubionym przedmiotem była matematyka.

Miło zapadł mi w pamięci Raciąż. Moim pierwszym wspomnieniem z tego miasta jest spacer z żoną wzdłuż ulicy ks. Gracjana Rzewuskiego. Tak bardzo spodobała nam się okolica, że w 1978 roku zbudowaliśmy sobie dom przy ulicy Zawoda, tuż obok ulicy ks. Gracjana Rzewuskiego. Od tamtego czasu Raciąż zmienił się bardzo. Pamiętam, że kiedy wybudowaliśmy nasz dom okolica była niemal pusta, natomiast teraz domów i sklepów jest coraz więcej.

W życiu dorostym pracowałem jako operator sprzętu ciężkiego,

służyłem także w wojsku. To tam zaczął się mój życiowy dramat, mianowicie w 1965 roku nastąpiło u mnie odklejenie siatkówek. Powoli traciłem wzrok. W tamtym czasie prawie każdy musiał iść do wojska, w wojsku nauczyłem się zawodu, ale tam też stałem się inwalidą. Służba zdrowia nie była wówczas dobrze rozwinięta, dlatego stałem się niewidomy. Pracowałem potem jako szczotkarz w spółdzielni niewidomych inwalidów. To jest trudne wspomnienie z mojego życia, ale mimo to okres PRL zapamiętałem nie najgorzej. Nie było wielu rzeczy, które teraz uważamy za powszednie: stodyczy, wędlin i innych artykułów spożywczych, internetu czy telefonów, ale z drugiej strony relacje międzyludzkie były lepsze niż teraz i chciałbym, żeby to wróciło.

¹ Ostaszków – miasto w Rosji, w którym znajdował się jeden z obozów dla polskich jeńców wojennych z 1939 r., zamordowanych przez NKWD w roku 1940.

Okupacyjne dylematy

Dawid Ławnicki, klasa VIII,

– Halina Goszczycka

Czy pamięta pani wybuch II wojny światowej?

Tak, miałam wówczas 10 lat i mieszkałam w małej wiosce Goszczy-no na Mazowszu. Akurat kopałam z cicią ziemniaki, kiedy spadła pierwsza bomba. Żołnierze niemieccy przekroczyli granicę Polski i zaczęli walczyć z naszymi żołnierzami. Rozpętało się prawdziwe piekło na ziemi. Zginęło wtedy sporo ludzi, a my przed nalotami uciekliśmy do piwnicy. Każdy we wsi chował się, gdzie tylko mógł. Siedzieliśmy w tej piwnicy kilka dni. Kiedy z niej wyszliśmy zorientowaliśmy się, że wszystko było już zajęte przez Niemców. To było straszne uczucie. Przestały działać szkoły. Co prawda można było uczyć dzieci w domu, ale nawet to było karalne.

Jak wyglądało potem życie ludzi, którzy ocalili?

Ze wsi wysiedlano sołtysów i zajmowano ich domy. Mój ojciec też był sołtysem, ale jego nie zabrali ani nie zajęli jego majątku. Kiedy przyszli po niego Niemcy, wszyscy zaczęliśmy płakać, a było nas w domu bardzo dużo. W efekcie nie zabrali ojca, zostawili go. Nie wiem, dlaczego tak się stało. Może ci, którzy po nas przyszli, mieli jeszcze trochę ludzkich uczuć i żal im było małych dzieci. Jeżeli tak, to mieliśmy niezwykle szczęście.

Potem Niemcy jeździli na koniach i pytali ludzi, czy są gdzieś w pobliżu oddziały polskie. Mój tata choć wiedział, to im nie powiedział, ale inni potrafili być często bardzo nieostrożni. Trzeba było uważać, gdyż wystarczyło małe przewinienie, aby zostać aresztowanym. Pamiętam jak zabrano mojego wuja na kopanie okopów. Powiedział, że wróci za dwa dni, ale nigdy już nie wrócił. Potem dowiedzieliśmy się, że podczas jazdy pociągiem chciał uciec i wrócić do domu. Wskoczył z pociągu, kiedy ten hamował i zaczął biec.

Niemcy go jednak zauważyli i zastrzelili.

Czy utkwili w pamięci jakieś szczególne sytuacje z okupacji?

Tak, pamiętam. Mój wuj zabił świnie, a potem sprzedał z niej mięso. Tyle, że wówczas obowiązywał zakaz uboju zwierząt, więc kiedy Niemcy się o tym dowiedzieli, przyszli po niego. Gdy ich zobaczył, zaczął uciekać. Ostatecznie nie udało im się go schwytać, ale długo musiał się ukrywać.

Po zajęciu przez Niemców naszej wsi, Polaków zaczęło ubywać. Mój tata został, bo nie chciał zostawiać domu. Znał trochę język niemiecki i aż tak bardzo się nie bał. Uważał, że porozumie się z Niemcami i nam włos z głowy nie spadnie. Niemcy przyjeżdżali do niego i wypytywali o różne rzeczy. Po prostu im odpowiadał.

Czy w tej okolicy działała jakaś partyzantka?

Tak, kiedyś nocą w domu obok było wielu mężczyzn z karabinami, czekali na Niemców. Baliśmy się, bo gdyby Niemcy tam przyszli, wielu z nich by zginęło, tak samo jak Polaków. Na szczęście nie doszło do walki.

Czy pamięta pani koniec okupacji niemieckiej?

Pamiętam, Niemcy byli wtedy już miłsi, ale i tak zabierali wiele rzeczy z naszych domów. Potem przyszli Rosjanie, a ci byli dla nas gorsi niż Niemcy. Niespokojni, nerwowi, nieobliczalni. Robili, co tylko chcieli. Niszczyli nasze domy, zabierali z nich prawie wszystko, co tylko mogli unieść. Karali za nic, byli bez skrupułów. Wyzwolenie przez ZSRR to był dla nas bardzo ciężki okres.

Trzy razy pod lufą karabinu

Weronika Marciniak, klasa VII,

– Bronisława Kutyla

Jest najstarszą kobietą w powiecie płońskim. Przeżyła dwie wojny i dlatego o nie chciałam ją zapytać. Ze względów zdrowotnych trudno jej sobie przypomnieć niektóre fakty. Była jednak bardzo szczęśliwa, że mogła przekazać zapamiętane obrazy z minionych lat.

Urodziłam się latem 1914 r. w Woli Łaszewskiej niedaleko Raciąża, tuż po wybuchu I wojny światowej. Kiedy wojna się skończyła miałam zaledwie cztery lata, więc nie pamiętam zbyt wiele. Za to bardzo dobrze zapamiętałam drugą wojnę światową. W 1939 r. miałam 25 lat i trzy razy stałam pod niemieckim karabinem. Hitlerowcy wyprowadzili mnie oraz dzieci na podwórko i z uśmiechem mierzyli do nas. Wszyscy mieliśmy śmierć przed oczami. Ostatecznie strzelali obok, a my drżeliśmy z przerażenia. Nikt, kto nie przeżył takiej chwili w czasie wojny, nie jest w stanie tego zrozumieć. Innym razem oddałam im ostatni miód, który mieliśmy w pasiece. Potem dali nam już spokój i dożyliśmy końca wojny. To były trudne i niebezpieczne lata, w których przyszło nam żyć. Jeszcze trudniej mieli Żydzi. Ludzie bali się im pomagać, bo całej rodzinie groziłaby za to śmierć. I nic mi nie wiadomo, żeby ktoś w okolicy im pomagał.

Życie spędziłam pracując na roli, cały czas na roli. Orałam, siałam, kosiłam kosą. Nie było wówczas maszyn ani urządzeń, które są teraz. Wszystko trzeba było wykonywać ręcznie. Mąż był chory na astmę, więc musiałam przejąć po nim wiele obowiązków.

Bardzo dobrych sąsiadów mieliśmy. Ludzie byli skłonni do pomocy, ale w zdecydowanej większości byli biedni. Potrafilি jednak dzielić się ostatnim kawałkiem chleba.

Przeżyłam też czasy Polski komunistycznej, ale ze względu na

udar bardziej pamiętam odleglejsze czasy niż to, co było stosunkowo niedawno.

Dochowaliśmy się dużej rodziny. Miałam czworo dzieci z moim mężem Michałem Kutylą: Janinę, Barbarę, Irenę i Henryka. Wychowałam jeszcze dwóch synów z wcześniejszego związku męża: Eugeniusza i Juliana. Dziś mam 15 wnuków, 30 prawnuków i 23 praprawnuków.

Ciągle strach

Natalia Nidzgorska, klasa VII

– Teresa Bielska

Moja prababcia Teresa Bielska miała dwa lata, gdy wybuchła II wojna światowa, lecz pamięta ją z opowiadań swoich rodziców i dziadków.

Tego dnia rozpoczęło się dla nas piekło. Byliśmy na dworze, gdy nagle usłyszeliśmy odgłosy samolotów. Kiedy wszyscy wyszli z domów zorientowaliśmy się, że to niemieckie. Podejrzewam, że każda rodzina wiedziała już, co się święci.

Zaczęliśmy się chować. Kiedyś obok domów były takie małe piwniczki, częściowo wkopane w ziemię i tam właśnie się skrywaliśmy. Z opowieści rodziców pamiętam, że mama wzięła tylko to, co było pod ręką, żeby mnie oraz mojemu rodzeństwu nie było zimno. Skrywaliśmy się oświetlając podziemia świeczką, bo wtedy nie było prądu.

Życie polegające na ukrywaniu musi być straszne.

Na pewno uczuciem dominującym przez całą wojnę był strach, którego nie można było uniknąć oraz niepokój o bliską osobę, która poszła walczyć za ojczyznę.

A jak zdobywaliście jedzenie?

Nie wiem dokładnie, skąd rodzice zaopatrywali się w żywność, ale wiem, że mieliśmy dużo zapasów właśnie w tych piwniczkach i zapewne przez jakiś czas żyliśmy z tych zapasów.

Czy mogliście się uczyć?

Szkół oczywiście w czasie wojny nie było, ponieważ je zamknięto lub rozstrzelano nauczycieli, więc nie miał kto uczyć. Tworzyły się jednak tajne organizacje, w których spotykali się Polacy i czytali po polsku, lecz ja nie uczęszczałam na takie zajęcia, bo byłam za mała. Dowiedziałam się, że blisko naszej wsi Niemcy rozstrzelali

nauczycieli, księży, urzędników państwowych, postów, sędziów, lekarzy i adwokatów, a także kupców, rolników, rzemieślników i robotników, jeżeli byli działaczami politycznymi lub społecznymi.

Do szkoły poszłam w roku 1945, czyli już po wojnie. Zdobyłam wykształcenie zawodowe.

Zastanawiałaś się, co by było, gdyby nie było wojny?

Nigdy o tym nie myślałam. Może gdyby nie wybuchła wówczas, to może teraz lub za kilkanaście lat? I pewnie równie dużo ludzi by zginęło. Więc tak zapewne miało być, niestety.

Czy myślisz, że Polacy w czasie wojny mieli nadzieję, że Polska odzyska niepodległość?

Oczywiście. Polacy wierzyli, że odzyskamy niepodległość. Na tajnych spotkaniach dodawali sobie otuchy słowami „Jeszcze Polska nie zginęła”. Próbowaliśmy zrobić wszystko co w naszej mocy, lecz przegrywaliśmy. Niektórzy umierali podczas wojny, z głodu, a jeszcze inni po prostu z przemęczenia i ciężkiej niewolniczej pracy.

A jak wspominasz czasy powojenne?

Pamiętam radio w naszym domu i takie wszechogarniające poczucie, że pod wieloma względami Polska zaczęła się rozwijać. Było nam jednak trudno. Na święta dostawaliśmy czasem pomarańcze, a czasami nic. Nie było tak jak dziś, kiedy dzieci dostają na święta Bożego Narodzenia telefony, tablety, komputery, różnego rodzaju ubrania itp. To były ciężkie czasy. Z moja siostrą miałyśmy jedną sukienkę do kościoła, więc było tak, że jedna z nas szła w niedzielę na mszę, a druga zostawała w domu. Mieliśmy po jednej parze butów na każdą porę roku. Polska była w tamtym czasie bardzo biednym krajem. Utkwił mi w pamięci na przykład taki obrazek: gdy jedna z rodzin kupiła telewizor, to wszyscy sąsiedzi się u niej zbierali. Oglądaliśmy przez jakieś piętnaście minut dobranockę, po czym szliśmy do domu spać.

Wypędzenie i powrót do Raciąża

Liliana Sadowska, klasa VII

– wspomnienia pradziadka Romana Chrzanowskiego z uwzględnieniem informacji przekazanych mu przez jego współtowarzysza niedoli, pana Kazimierza Adamskiego

Dzień 2 grudnia 1940 roku okazał się dniem strasznym dla kilkudziesięciu rodzin Raciąża. Tego słonecznego zimowego dnia przyszło do mojej rodziny dwóch [niemieckich] żandarmów i zakomunikowało, że mamy opuścić mieszkanie w przeciągu 5 minut. Na te słowa moja mama zemdlała, a dwaj bracia, Jerzy i Janusz, zaczęli zbierać ubrania do jednego worka. Ojciec zajął się mamą. Po 5 minutach w asyście żandarmów zostaliśmy zaprowadzeni do kościoła, w którym już były inne polskie rodziny. Niemcy doprowadzili jeszcze wiele pojedynczych osób i całe rodziny do południa, tak że w kościele był dość duży tłum. Zabroniono nam wychodzenia na zewnątrz. Potrzeby fizjologiczne były załatwiane w wydzielonym miejscu w kościele. Przez cały czas słychać było płacz dzieci, chcących wrócić do domu, bo nie rozumiały swojej tragedii. Około godz. 18.00 Niemcy zezwolili, aby właściciele gospodarstwa rolnego, moi wujkowie, Wacław i Wiktor Zalewscy, przekazali wysiedlanym gorące mleko i chleb. Godzinę później pod samą bramę kościoła podjechało kilka odkrytych samochodów ciężarowych, na które załadowano wszystkich ludzi przebywających w kościele.

Wspominając po latach te chwile, staraliśmy się z moim kolegą, p. Kazimierzem Adamskim, przypomnieć sobie, które rodziny zostały wysiedlone. Oto wszystko, co udało nam się odtworzyć z pamięci: rodzina Chrzanowskich, zam. ul. Zawoda 1 (ojciec Józef ur. w 1903 r., matka Stanisława ur. w 1900 r., bracia Jerzy ur. w 1925 r. i Janusz ur. w 1931 r., oraz ja – Roman ur. w 1934 r.), rodzina Adamskich, zam. ul. Kościelna 6 (matka Waleria ur. w 1901 r., współautor tych wspomnień, Kazimierz ur. w 1927, jego brat Michał ur. w 1930 r.), rodzina Ciskich zam. ul. Kościelna 22 (Piotr

ur. w 1905 r., Zofia ur. w 1915 r., Stefan ur. w 1935, Wojciech ur. w 1938, Balbina Ciska ur. w 1872 r.), rodzina Rózewskich z ul. Zielonej (Stanisław ur. w 1907 r., Józefa ur. w 1913 r., Włodzimierz ur. w 1939 r.), rodzina Ciskich zam. ul. Kilińskiego (ojciec Feliks, matka Janina, córka Anna, syn Józef, córka Irena), rodzina Siennickich zam. ul. Warszawska (Walenty z żoną, synowie Tadeusz i Jerzy, córki Bogumiła i Teresa), rodzina Czachowskich zam. ul. Przechodnia (Feliks z żoną i dziećmi – Stanisław, Henryka, Irena), pan Brzózka zam. ul. Mławska, bracia Piotr i Wacław Adamkiewicz z ul. Mławskiej, rodzina Sadowskich z córkami Teresą, Haliną i Marianną, rodzina Słojewskich z ul. Warszawskiej, rodzina Okrzesów, rodzina Brudzińskich zam. ul. Zawoda, rodzina Dąbrowskich z synem Tadeuszem zam. ul. Warszawska, rodzina Tańskich z dziećmi Heleną i Kazimierzem zam. ul. Zawoda, rodzina Lewandowskich z synem Wiesławem zam. ul. Warszawska, Stefan Zajączkowski zam. ul. Błonie, rodzina Karasiewiczów z córkami Stanisławą i Marianną zam. ul. Warszawska. Więcej nazwisk osób wysiedlonych nie pozostało w naszej pamięci, a było ich dużo.

Po załadowaniu zatrzymanych samochody ruszyły w stronę rynku, a następnie ul. Mławską. Jechaliśmy w nieznaną. Nikt nie wiedział, co nas czeka. Przypuszczeń było bardzo dużo. Myśleliśmy, że najprawdopodobniej zostaniemy rozstrzelani gdzieś w lesie. Na samochodach był przenikliwy ziąb. Był grudzień, a samochody były odkryte. Tak jechaliśmy od półtorej do dwóch godzin.

Po tym czasie podjechaliśmy pod baraki więzienne, jak się potem okazało w Działdowie. Tam nas wszystkich zakwaterowano na korytarzu. Na podłodze leżała zmięta jak sieczka słoma, która została po innych więźniach. Były w niej pchły i pluskwy. W nocy podano nam ciepły posiłek. Była to zmarznęta brukiew z wodą. W takich warunkach przespaliśmy tę noc. Rano z ust do ust podawano sobie wiadomość, że zostaniemy wywiezieni do innych obozów, ponieważ tu panowała ogromna ciasnota. Tego dnia nic się jednak nie zmieniło oprócz tego, że dowieziono nowych ludzi z Sierpca i Bieżunia. Tak przeżyliśmy następny dzień. Rano trzeciego dnia Niemcy postanowili oddzielić dzieci od ojców i matek. Było już pewne, w rozumowaniu naszych rodziców, że

taka selekcja będzie potrzebna Niemcom, aby rozstrzelać oddzielnie dzieci, rodziców i starszych ludzi. Pamiętam, jak moja matka, Stanisława Chrzanowska, podeszła do mnie i włożyła do mojej kieszonki w swetrze pieniądze i powiedziała: „Może ty przeżyjesz, to przydadzą ci się te pieniądze”. Bardzo płakała, całując mnie w głowę. Jak się potem okazało, Niemcy zarządzili, aby odebrać wysiedlanym zabrane z domów pieniądze i kosztowności. Byliśmy też bici przez Niemców. Pan Brzózka tak przeżył ten obóz w Działdowie, że w ciągu jednej nocy jego czarne włosy całkowicie zsiwiały.

Tego samego dnia zostaliśmy wyprowadzeni na zewnątrz budynku i, otoczeni przez gestapo, byliśmy pędzeni w nieznanym kierunku. Każdy panicznie się bał, ponieważ oprócz bicia byliśmy szczuci psami, aby szybciej iść. Starsi ludzie, którzy nie nadążyli, przewracali się. Natychmiast byli podnoszeni przez innych, aby Niemcy się nad nimi nie pastwili. Po przejściu ok. 300-400 m zostaliśmy ponownie załadowani, tym razem do stojącego składu pociągu. Nie wiemy, jak te wagony się nazywały, ale były one wielodrzwiowe, zarówno z jednej, jak i z drugiej strony. Po kilkunastu minutach pociąg ruszył w nieznaną stronę. Jechaliśmy bez żadnego zaopatrzenia w jedzenie i picie. Po kilku godzinach w każdym z wagonów było słyhać straszny płacz dzieci, a przy nich i rodziców. Z każdą chwilą mogliśmy się liczyć z tym, że to jest nasza ostatnia droga. Po kilkunastu godzinach pociąg zatrzymał się przy lesie. Wtedy to nasi rodzice i starsze rodzeństwo nabrało pewności, że to jest koniec naszej podróży, że w tym lesie dokona się mord na nas wszystkich. Trudno opisać, co się wtedy działo w wagonach. Matki i ojcowie tulili własne dzieci, jakby żegnali je na zawsze. Trwało to kilkadziesiąt minut. Nieoczekiwanie nastąpiła szczęśliwa chwila i pociąg ruszył w dalszą drogę.

Rankiem dojechaliśmy do Częstochowy. Bez jedzenia, bez picia. Dzieci nie rozumiały powagi sytuacji, żebrały o posiłek, ale rodzice nie mieli go skąd wziąć. Podczas postoju mój ojciec wyskoczył przez okno z miseczką aluminiową i podbiegł ok. 100 m do hydrantu, aby przynieść choć odrobinę wody i zaspokoić pragnienie swoich dzieci i innych. To wydarzenie obserwował żandarm. Zaczął gonić mojego ojca za to wielkie

przestępstwo i tuż przed wagonem rozciął mu głowę bagnetem. Ojciec padł na ziemię zalany krwią. Wtedy ten Niemiec otworzył wagon i moi bracia, Janusz i Jurek, wciągnęli ojca do środka. Bez wody. Opatrzono, czym się dało, jego głowę, aby mniej krwawiła.

Po kilku godzinach jazdy pociągiem dojechaliśmy do Krakowa. W Krakowie ogłoszono nam, że kto jest chory, ranny, może skorzystać z pomocy lekarskiej. Wtedy to moja rodzina z rannym ojcem udała się pod opieką stróżów niemieckich do szpitala. Tam zabandażowano ranę ojca i podano nam gorącą kawę mleczną, pierwszy ciepły posiłek od dwóch dni. Po godzinie, może dwóch, wróciliśmy do tego samego pociągu. Jadąc od Krakowa do Nowego Targu, odczuliśmy wielkie współczucie i spontaniczność górali. Na małych stacyjkach kolejowych rzucali nam do okien jedzenie. Był to chleb, bryndza i inne produkty żywnościowe.

Po kilku godzinach jazdy, nad ranem dojechaliśmy do Nowego Targu. Zaprowadzono nas wszystkich z dworca kolejowego do rynku, gdzie stały zaprzężone sanie góralskie i gdzie kto z wysiedlonych usiadł, tam jechał. Dla nas wszystkich kolejny raz była to podróż w nieznaną stronę. Jak się później okazało zostaliśmy przewiezieni do kilku miejscowości: do Krościenka nad Dunajcem, Grywałdu, Kluszkowców i na górę Tylkę. Inne rodziny były wcześniej wywiezione w okolice Lublina. Rodzina Adamskich została zakwaterowana w Krościenku, a moja u górali na górze Tylce.

W drewnianej chacie mieszkała góralka z czterema synami i my – pięcioosobowa rodzina. Był tam jeden pokój i mała izdebka kuchenna. Potrzeby fizjologiczne były załatwiane na zewnątrz w ubikacji. Przypominam sobie, że panował tam straszny głód. Górale byli zobowiązani oddawać plony zbóż, owce, świnie i krowy jako kontyngent dla Niemców. Chleb był pieczony z mąki mielonej na żarnach z owsa i jęczmienia, wypiekany bez drożdży, na blasze w kuchni. Żywiliśmy się tylko takim chlebem, kaszą jęczmienną i pęczakiem. Od czasu do czasu do naszych posiłków dostawaliśmy mleko. To było całe nasze wyżywienie.

Po kilku miesiącach, z nieznanych mi przyczyn, rodzice postanowili wyjechać do Warszawy. Za taki wyjazd groziła kara śmierci. Szczęśliwie

dojechaliśmy do Warszawy i zamieszkaliśmy u siostry mojego ojca, Janiny. Po kilku tygodniach trzeba było jednak opuścić to lokum w Warszawie, ponieważ Niemcy węszyli i ktoś nas ostrzegł. Wyjechaliśmy do Pruszkowa. Tam mieszkała druga siostra mojego ojca, Helena, która znalazła dla nas lokal z małą izdebką w równie niewielkim budynku. Tam udało się nam pomieszkać również kilka tygodni.

Potem ojciec postanowił wyjechać z Pruszkowa i znaleźć dla naszej rodziny bezpieczniejsze schronienie w innym miejscu. Wyjechaliśmy do Sochaczewa. Bardzo dużej pomocy udzielił nam wtedy niejaki pan Sikorski, mieszkaniec Sochaczewa, którego wcześniej nie znaliśmy, a który znalazł nam mieszkanie we wsi Glinki, oddalonej od Sochaczewa o 15 km. Był to wiejski murowany budynek, w którym zamieszkiwały dwie rodziny. Jedna miała pokój z kuchnią (rodzina Kaszubów), druga zajmowała pokój (państwo Lelonkiewiczze), a moja rodzina kuchenkę o kubaturze ok. dziewięciu metrów kwadratowych. Spaliśmy na podłodze na siennikach ze słomy. Przykryciem były jakieś stare koce i kołderki ofiarowane przez ludzi. Warunki były bardzo ciężkie. Nie było w co się ubrać, nie było obuwia. Chodziliśmy na boso albo w drewniakach.

W 1943 roku w grudniu urodził się mój brat – Wojciech. Ja i moi starsi bracia, Janusz i Jurek, mogliśmy chodzić do szkoły we wsi Bożymówka, gdzie uczyła pani o nazwisku Czynszyn. Mogła uczyć tylko po niemiecku. Pamiętam do dziś, że w tym języku nauczyła nas jedynie pozdrowienia niemieckiego „Heil Hitler”, a poza tym uczyła po polsku. Była prawdziwą patriotką, kochającą Polskę. Za taką postawę groziła jej śmierć. Pierwszą komunię świętą przyjąłem w oddalonym o cztery kilometry od mojej wsi kościele w Kurdwanowie.

Przyszedł rok 1945. Jak się okazało, rok wielkiej radości. Następowo wyzwoleń naszej ojczyzny. Nasza wioska została wyzwolona 20 stycznia 1945 roku. A już pod koniec lutego 1945 roku cała moja rodzina z zebranymi tobołkami wracała z wysiedlenia pieszo do domu. Droga była ciężka: niewłaściwe ubranie, zimno, nieodpowiednie buty, niedożywienie, głód. Tak doszliśmy do Wyszogrodu. Zapadał wieczór. Trzeba było przedostać się przez Wisłę, a most był zbombardowany.

Woda w niektórych miejscach płynęła po lodzie, w którym były wyrwy. Przechodzący tędy ludzie kładli deski na lód, aby przejść przez Wisłę. Mój brat Jerzy omal nie wpadł pod lód. Śliska deska dostała się pod krę, a on na niej stał. Na szczęście ojciec go złapał i udało się nam szczęśliwie przejść tę Wisłę. Po kilku minutach, może godzinie, Rosjanie już bombardowali lód, aby nikt więcej nie przechodził, gdyż groziło to śmiercią. Udało się nam znaleźć schronienie w stodole u gospodarza w Wyszogrodzie. Tam przenocowaliśmy.

Przed południem następnego dnia ruszyliśmy w powrotną drogę do upragnionego Raciąża. Przeszliśmy około 20 km i ponownie szukaliśmy schronienia, żeby się trochę przespać. Była to miejscowość Bulkowo. Dostaliśmy tam posiłek, mleko i chleb. Następnego rana udaliśmy się w dalszą podróż i późnym wieczorem dotarliśmy do Raciąża. Tak skończyła się nasza okupacyjna gehenna.

W powyższej opowieści wykorzystałem wspomnienia kolegi, pana Kazimierza Adamskiego. Wspomina on między innymi, jak mu się żyło w Krościenku. Było tam więcej rodzin z Raciąża i można było chodzić do szkoły. Pamięta, jak bardzo byli oddani nauczyciele dla dzieci rodzin wysiedlonych. W pamięci utkwiła mu zwrotka wiersza, który ułożyła dla nich nauczycielka: „Chociaż szaro wokoło, a ta zima jak gdyby bez końca, Ty swe serce i czoło wznos wytrwale do góry, a na pewno doczekasz się słońca”.

Wszystkie rodziny wysiedlonych zamieszkałe w Krościenku, Grywałdzie, Kluszkowcach powróciły szczęśliwie w marcu 1945 roku.

W latach osiemdziesiątych z żyjącymi braćmi, Januszem i Wojciechem, postanowiliśmy odwiedzić wioskę Glinki w powiecie sochaczewskim, aby pokazać Wojciechowi, w którym miejscu się urodził i gdzie był chrzczony. To było w Kurdwanowie. W byłym naszym budynku, bardzo już wtedy opuszczonym i zaniedbanym, mieszkał wnuczek państwa Kaszubów. Poprosiliśmy, aby nam pokazał lokum, w którym żyła nasza rodzina podczas okupacji. Widok był przygnębiający. W wiosce spotkaliśmy się jeszcze z ludźmi pamiętającymi tamte czasy. Byli to państwo Orzechowscy, z którymi można było wspominać te ciężkie chwile

naszego życia.

W 2004 r. chciałem koniecznie odwiedzić miejsce naszego wysiedlenia. W lipcu tego roku pojechałem z moim przyjacielem, księdzem Zbigniewem Klubą, proboszczem parafii Krajkowo na górę Tylkę i wspólnie z nim odnalazłem budynek, w którym kiedyś mieszkaliśmy. Z pięciosobowej rodziny góralskiej żył tylko syn, Jan Adamczyk. Pozostałe osoby, matka Maria, brat Julian, brat Władysław, już nie żyły.

W pierwszej fazie naszych rozmów trudno mi było przypomnieć sobie osoby żyjące kiedyś w górach, a jemu naszą rodzinę. Po przeanalizowaniu faktów mówiących, że tam byliśmy wysiedleni, mój kolega Jan stwierdził: „To u nas żeście żyli”. Dla mnie to była ogromna radość. Od tego czasu bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Po naszym przyjeździe do Raciąża utrzymywaliśmy ze sobą kontakt telefoniczny i listowny, składając sobie życzenia z różnych okazji, świąt, imienin.

W 2009 roku zmarł ostatni żyjący świadek naszego wysiedlenia, Jan Adamczyk. Nie dane było mi być na pogrzebie, ale myślami byłem z całą jego rodziną.

Razem z moim kolegą, p. Kazimierzem Adamskim, pragniemy podziękować za opiekę naszym nieżyjącym rodzicom, wszystkim ludziom dobrej woli, zarówno w górach, jak i w innych miejscach, w których się znaleźliśmy w tych trudnych czasach. Wyrażamy nadzieję, że taki los już nigdy nikogo nie spotka.”

Jestem bardzo wdzięczna mojemu pradziadkowi Romanowi za to, że zechciał mi przekazać swoje wspomnienia z czasów II wojny światowej.

Liliana Sadowska, Raciąż, dn. 5 października 2019 r.

Od pieśni o Leninie do Solidarności

Aleksandra Stanowska, klasa VII

– dziadek Adam Mierzejewski

Opowiedz mi o swojej młodości.

Urodziłem się w połowie lat 50. XX wieku i moje dzieciństwo oraz młodość przypadają na okres PRL. Każde wakacje w wieku szkolnym spędzałem na koloniach i obozach. Co roku mogłem poznać inne miejsca w Polsce. Byłem na Mazurach, w górach, nad morzem i w wielu innych miejscach. Więcej czasu spędzaliśmy na świeżym powietrzu. Razem z koleżankami i kolegami jeździliśmy na rowerach albo graliśmy w różne gry terenowe.

A jak wspominasz szkołę?

Miałem wspaniałych kolegów i koleżanki. Poza zajęciami obowiązkowymi mieliśmy dużo zajęć dodatkowych, takich jak kółko teatralne, chór, zajęcia sportowe, no i oczywiście drużynę harcerską. Chętnie uczęszczałem na te zajęcia, gdyż była to ciekawa forma spędzania wolnego czasu. W tamtych czasach nie było telefonów komórkowych i komputerów, a program telewizyjny zaczynał się późnym popołudniem.

Miło wspominać nauczycieli, którzy mnie uczyli. Wówczas nauczyciel był autorytetem. Szanowaliśmy ich wszystkich, nawet tych nie lubianych. Z mojego punktu widzenia były to szczęśliwe i bez troskie czasy. Wtedy jeszcze nie uświadamiałem sobie, jak bardzo treści nauczania i organizowane zajęcia pozalekcyjne podporządkowane były jednemu celowi – ideałowi wychowania socjalistycznego. Przygotowywaliśmy inscenizacje na akademię poświęconę obchodom, np. rocznicy Rewolucji Październikowej. Uczyliśmy się piosenek i wierszy po rosyjsku. Do dzisiaj pamiętam słowa piosenki o Leninie: *Lenin jest wciąż wśród nas, w każdej nadziei, w zwycięstwa czas, Lenin na każdej z dróg i w każdym szczęśliwym dniu.* Program

nauczania historii pomijał fakty historyczne, które były niewygodne dla przyjaźni polsko-radzieckiej, jak chociażby o wymordowaniu polskich oficerów w Katyniu, czy o napaści ZSRR we wrześniu 1939 r. na naszą Polskę. O prawdziwej historii dowiadywałem się od ojca.

W tamtych czasach każdy chłopak po ukończeniu 18 roku życia musiał odbyć dwu lub trzy-letnią służbę wojskową. Mnie ten obowiązek ominął, bo dostałem się na studia do Krakowa. Tam zetknąłem się z działalnością opozycyjną studentów. Były to początki powstania Niezależnego Zrzeszenia Studentów¹. Jeden z zaangażowanych w te działania studentów, Stanisław Pyjas, w maju 1977 r. swoją działalność przytłacił życiem². Ówczesne władze robiły wszystko, aby ukryć oczywiste fakty.

Jak wyglądało życie zwykłych obywateli w PRL?

Po drugiej wojnie światowej, w wyniku traktatu jałtańskiego, Polska znalazła się w strefie wpływów Związku Radzieckiego, czyli w tak zwanym bloku państw socjalistycznych. Mimo, że prawa obywateli takie jak nietykalność osobista, wolność słowa i wyznania były umieszczone w konstytucji PRL, nie były one przestrzegane.

Co to znaczy?

Polacy nie mogli swobodnie wyrażać opinii o rządzie, a wiadomości w telewizji i radiu, a także w gazetach były cenzurowane. Podawane były tylko informacje wygodne dla władzy. Liczne ograniczenia w PRL całkowicie zdominowały życie społeczeństwa.

Czy w tamtych czasach ludzie mieli dobrobyt?

Na początku sklepy były dobrze zaopatrzone. Jednak z upływem lat zaczęło brakować nawet podstawowych artykułów. Równolegle rosły ceny. Pogarszające się warunki życia doprowadziły do protestów i strajków. Wprowadzono kartki żywnościowe, upoważniające do

1 Niezależne Zrzeszenie Studentów (NZS) – powołana we wrześniu 1980 roku pierwsza w PRL niezależna organizacja studencka.

2 Stanisław Pyjas (1953-1977) – student Uniwersytetu Jagiellońskiego, działacz opozycyjny. Zginął 7 maja 1977 r. w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach, przy prawdopodobnym sprawstwie komunistycznej służby bezpieczeństwa.

nabycia podstawowych artykułów spożywczych w określonej ilości, i talony na artykuły przemysłowe. Jednak mimo wprowadzenia reglamentacji nadal brakowało towarów w sklepach. Nieodłącznym elementem życia codziennego były więc kolejki pod sklepami. Ludzie stali nieraz całą noc, żeby coś kupić. Wciąż pogarszające się warunki życiowe, w konsekwencji doprowadziły do protestów i niepokoїв społecznych.

Co było konsekwencją tych niepokoїв?

Fala strajków doprowadziła do powstania w sierpniu 1980 r. w Gdańsku pierwszego Niezależnego Związku Zawodowego „Solidarność”, na czele którego stanął Lech Wałęsa. Zaczęły powstawać komórki „Solidarności” w innych zakładach pracy w Polsce, również w tym, w którym pracowałem. Był to Międzyszkolny Związek Zawodowy „Solidarność”, którego byłem wiceprzewodniczącym. Ciągłe pogarszająca się sytuacja w zaopatrzeniu w podstawowe artykuły doprowadziła do wzrostu napięć. Ludzie wyszli na ulice i organizowali blokady miast.

I co było dalej?

Rządzący nie byli zadowoleni z podpisanych porozumień sierpniowych i zarejestrowania związku „Solidarność”. Sympatie społeczeństwa dla nowego związku zawodowego budziły zaniepokojenie władzy. Ówczesne władze obawiając się interwencji zbrojnej ZSRR – tak przynajmniej tłumaczyła to potem strona rządowa – wprowadziły 13 grudnia 1981 r. na terenie całego kraju stan wojenny.

Co oznaczało wprowadzenie stanu wojennego?

Było szereg ograniczeń:

- wprowadzono godzinę milicyjną,
- zakazano strajków i demonstracji,
- wyjazdów poza teren zamieszkania,
- służby porządkowe legitymowały ludzi i przeszukiwały samochody
- zawieszono zajęcia w szkołach i na uczelniach
- nie było połączeń telefonicznych itd.

Na ulicach pojawiło się wojsko, milicja i pojazdy opancerzone.

W zakładach pracy i urzędach państwowych pojawili się komisarze wojskowi, którzy kontrolowali sytuację. Internowano działaczy „Solidarności”.

Jak długo trwał stan wojenny i co było dalej?

Stan wojenny trwał dwa lata. Po jego odwołaniu, sytuacja polityczna i gospodarcza nie uległa poprawie. Doprowadziło to do zwołania obrad Okrągłego Stołu¹, w których uczestniczyli przedstawiciele rządu i opozycji. W wyniku tych porozumień 4 czerwca 1989 r. odbyły się częściowo wolne wybory do Sejmu i Senatu². Opozycja zwana Drużyną Lecha Wałęsy zdobyła większość miejsc w Senacie i 1/3 miejsc w Sejmie. Zgodnie z zawartymi porozumieniami, na prezydenta wybrano przedstawiciela rządu Wojciecha Jaruzelskiego, a na premiera Tadeusza Mazowieckiego, pierwszego niekomunistycznego premiera w powojennej Polsce. Fakt ten uznaje się za koniec komunizmu w Polsce. Powstała Rzeczpospolita Polska, odrodzona po 45 latach komunistycznych rządów.

1 Okrągły Stół – negocjacje prowadzone od 6 lutego do 5 kwietnia 1989 r. przez opozycję demokratyczną z władzą komunistyczną, wprowadzające szereg zmian ustrojowych i przyczyniające się do upadku systemu komunistycznego w Polsce. Obrady odbywały się w Warszawie w Pałacu Namiestnikowskim (dziś: Pałac Prezydencki).

2 Senat został przywrócony na podstawie ustaleń Okrągłego Stołu, po ponad 40 latach od czasu jego zniesienia w wyniku sfalszowanego referendum w 1946 r.

Komunizm, Raciąż i ja

Zofia Szczesniewska, klasa VII

– Wanda Wichowska

Urodziłam się w 1958 roku w Raciążu i tu mieszkam do dziś. Także moja babcia ze strony ojca i mój ojciec również tutaj się urodzili.

II wojnę światową znam z opowieści moich dziadków oraz rodziców. Opowiadali mi, że panowała wówczas wielka bieda, a ludzie szanowali każdy kawałek chleba. Żołnierze niemieccy, którzy wkroczyli do Raciąża w 1939 r. pochodzili w większości z Prus Wschodnich i mówili po polsku. W mieście szybko zaczęły się prześladowania. Niemcy w pierwszej kolejności wywozili wszystkich ułomnych, kaleki i bezrobotnych. Zdarzały się łapanki, które kończyły się osobistymi dramataми: np. w 1940 roku pan Stanisław K. wyszedł z domu po mleko do gospodarza. Wrócił do domu po siedmiu latach, w lutym 1947 r.

Niemcy wysiedlali całe rodziny: m.in. Adamskich, Siennickich, Różeńskich, Ciskich. W grudniu 1940 roku wywieziono ich najpierw do obozu przejściowego w Działdowie, a potem w góry nad Dunajec do Krościenka. Ofiarą przesiedleń padały zwłaszcza te rodziny, które miały lepsze warunki mieszkaniowe. Ich mieszkania zajmowały rodziny niemieckie, a wyrzuconych Polaków przesiedlano do mieszkań, w których panowały gorsze warunki.

Młodzież była wywożona na roboty przymusowe do Niemiec, a ci którzy zostali musieli pracować dla rodzin niemieckich na miejscu. Przykładowo 14-letnie dziewczyny, Duszyńska, Malinowska, pracowały w dworku po rejencie przy ul. Dworcowej, a siostry Jabłońskie sprzątały, wychowywały dzieci, paliły w piecach.

W Raciążu przed wojną żyły obok siebie dwie społeczności: polska i żydowska¹. Społeczności te nie przepadały za sobą. Często dochodziło

1 W 1939 r. niemal 30 % Raciążan było Żydami.

do ulicznych utarczek między młodymi chłopcami obu społeczności.

W trakcie okupacji wszystkich Żydów z Raciąża Niemcy spędzili na środku rynku i pociągami wywieźli do obozów koncentracyjnych¹. Moja teściowa uratowała rodzinę Kruszewskich: Jakuba i jego dwie siostry. Jakuba zatrudniła w piekarni, a jego siostry przez cały czas okupacji szyły i haftowały pościel, obrusy i makatki dla rodzin niemieckich.

Żydów ukrywali Polacy na wsi, ale niektórzy Polacy donosili na nich do Niemców. Za ukrywanie Żydów groziła śmierć.

Piekarnie piekły chleb pszenny tylko dla Niemców, Polakom nie wolno było piec pszennego pieczywa. Niemcy płacili piekarzom za chleb, natomiast Rosjanie, kiedy weszli do Raciąża w styczniu 1945 roku, wypieklili całe zapasy mąki, nie płacąc za nic. Piekarze, którzy prowadzili piekarnie w okresie stalinowskim, mówili, że za sowieckiej okupacji mieli gorzej, niż za niemieckiej, bo Niemcy płacili 3 marki od wypieku 1 tony mąki, a za Sowietów podatki zmieniały się co miesiąc.

Znałam jednego Niemca w Raciążu, pana R., który mieszkał na ulicy Mławskiej u państwa Kowalskich. W czasie wojny pracował w gospodarstwie, ale po wojnie nie wyjechał do Niemiec. Zajmował się cięciem drzewa. Był dobrze traktowany przez Polaków. Natomiast zawsze z podziwem wspominał Hitlera i stawiał go za wzór. Był nim zafascynowany.

Koniec wojny to początek radzieckiej dominacji w Polsce. Miejscowi źle ją wspominają, bo Sowietów gnębili rzemiosło i własność prywatną. Byliśmy całkowicie uzależnieni od ZSRR. Władza miała należeć do narodu, ale w rzeczywistości obywatel miał minimum wpływu na cokolwiek. Fałszowano wybory i Polacy nie mogli swobodnie wyrazić opinii o rządach komunistycznych. Zwolennicy demokracji i niepodległości byli wrogami, groziło im więzienie, a nawet śmierć.

Po zakończeniu okresu stalinowskiego zaprzestano najokrutniejszych prześladowań, ale nadal śledzono przeciwników komunizmu. Wiadomości radiowe i telewizyjne były cenzurowane. Ludzie będący na stanowiskach ukrywali swoją wiarę. Żywność, ubrania, były na kartki.

¹ W rzeczywistości dotyczyło to grupy Żydów pozostawionych w miejscowym obozie pracy.

W Raciążu po wojnie było dużo sklepów prywatnych. Galanterijne: Adamski, Witkowski, Saniuk przy Pl. Mickiewicza, Jędrzejewski ul. Płocka. Piekarnie Majewski, Jabłoński, Grzybowski, Wichowski, Krakowski. Garmazeryjne: Bieranowski i Konderski. Dodatkowo zakłady szewskie, fryzjerskie, kowalskie. Rzemiosło kwitło, ale władze gnębiły inicjatywę prywatną i zakłady upadały.

W roku 1973 rozpoczęłam naukę w liceum ogólnokształcącym w Raciążu. Pewnego razu na lekcji historii, w klasie starszej od nas o dwa lata, uczeń Bogdan K. powiedział, że nasze podręczniki kłamią o historii i powiedział, jak było naprawdę. W konsekwencji nie zdał do następnej klasy.

25 czerwca 1976 r. nastąpiła kolejna podwyżka cen na artykuły konsumpcyjne. Pamiętam ówczesne wystąpienia i strajki w Radomiu, Płocku, Ursusie. Wtedy wakacje spędzałam na obozie Ochotniczych Hufców Pracy¹ w Hucie Krzeszowskiej w okolicach Biłgoraja i Stalowej Woli. Była z nami młodzież z Radomia, którą izolowano od nas, musieli pracować oddzielnie. Szpiegowano nas, podstuchiwano i znęcano się nad nami, na przykład musieliśmy nosić wodę do beczek, a nasi opiekunowie ją później wylewali. Musieliśmy myć latryny zalane specjalnie przez kadrę naszych opiekunów.

Na początku lat 80. powstała „Solidarność”, związek dla obrony praw pracowniczych i zarazem opozycja przeciw rządowi komunistycznemu. Cieszyłam się, że wreszcie skończą się strajki, sama też zapisałam się do NSZZ „Solidarność”. Pracowałam wtedy w GS „SCH”² w Raciążu. Moja przynależność do „Solidarności” nie było mile widziana przez kadrę zarządzającą. Byliśmy dla nich wrogami.

Potem, 13 grudnia 1981 r., rozpoczął się stan wojenny, niezgodny zresztą z konstytucją PRL.

Od grudnia 1985 r. mamy w Raciążu własną piekarnię przy ul. 11 Listopada. W okresie gospodarki rynkowej trudniej ją prowadzić. Konkurencja

¹ Ochotnicze Hufce Pracy – powołana do życia w 1958 r. organizacja młodzieżowa ukierunkowana na pomoc młodym ludziom w zdobywaniu kwalifikacji zawodowych.

² GS SCH – Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska”.

zagraniczna zabija lokalne rzemiosło. W piekarni mamy komplet ludzi, przy czym starsi piekarze potrafią wszystko. Młodzi muszą się jeszcze wiele nauczyć, co często idzie opornie. Czasem boję się, co będzie jak odejdą starsi.

Co do zmian ustrojowych, które zaszły po 1989 roku, ludzie mają podzielone zdanie. Jedni uważają, że można było osiągnąć więcej, inni uważają się za ofiary tych przemian. Ludzie o poglądach prawicowych częściej postrzegają je pozytywnie. Zastrzeżenia do zmian mają natomiast ludzie starsi. Urodzeni w latach 50., 60. i 70. oceniają je generalnie pozytywnie, należą do nich i ja. Natomiast najmłodszy pozytywnie lub nie mają zdania.

Pomagać, mimo wszystko

Zuzanna Wiejska, klasa VII

– babcia Jadwiga Wiejska

Poniżej przedstawiam zapis wspomnień mojej babci, która opowiedziała mi o przeżyciach jej rodziców – Marii i Józefa Wichowskich – podczas II wojny światowej.

Moi pradiadkowie Maria i Józef pobrali się w 1937 r. W tym samym roku otworzyli piekarnię, która mieściła się w Raciążu przy ulicy Adama Mickiewicza 15. Budynek był wydzierżawiony. Przez ponad rok trwały w nim remonty. Małżonkowie byli bardzo szczęśliwi ze swojego dzieła, jednak ich radość nie trwała długo. W sierpniu 1939 roku ogłoszono powszechną mobilizację. Pradiadek Józef został powołany do wojska, do jednostki w Modlinie. Dwa tygodnie później wybuchła wojna. 1 września 1939 r. Żołnierze z Modlina zostali wysłani na front w rejonie Mławy. Walczyli przez dwa tygodnie, po czym poddali się i zostali wzięci do niewoli. Pradiadek trafił wraz z innymi żołnierzami do obozu w Działdowie.

W tym czasie prababcia Maria sama prowadziła piekarnię w Raciążu i opiekowała się dwójką dzieci. Po kilku tygodniach pradiadek i inni żołnierze zostali zwolnieni z obozu. Niemcy nakazali mu powrót do pracy. Musiał podpisać oświadczenie, że zajmie się piekarnią.

Tymczasem sprzedaż chleba była reglamentowana systemem kartkowym. Moi pradiadkowie nie stosowali się do tego i pod osłoną nocy piekli więcej chleba, który ukrywali w szopie pod sianem. Chleb był przeznaczony dla potrzebujących, ludzi z małymi dziećmi, żyjących w bardzo ciężkich warunkach, przymierających głodem.

Okres okupacji dla pradiadków nie był ani szczęśliwy, ani najgorszy. Cieszyli się, że byli w takiej sytuacji, w której mogli jeszcze pomagać ludziom w potrzebie. Martwili się wówczas, gdy pradiadek był na wojnie i w obozie jenieckim. W roku 1942 urodziła się moja babcia Jadwiga.

W styczniu 1945 r. wojska sowieckie wyzwoliły Raciąż. Kilka miesięcy po wyzwoleniu dwóch Żydów raciąskich ocalałych z Holokaustu, właściciele nieruchomości przy ulicy Mickiewicza, pan Zomer i pan Piechotka, sprzedali pradziadkom swoją posesję.

Kilka lat po wojnie odbyło się spotkanie żołnierzy z Modlina. Pradziadek został odznaczony.

W 1986 roku piekarnię przejęła Jadwiga, ponieważ moi pradziadkowie zmarli. W tym czasie przyszli na świat jej synowie Jarostaw oraz Marek, mój tata. Wszelkie wspomnienia i przeżycia zostały przekazane wszystkim dzieciom moich pradziadków, w tym mojej babci Jadwidze.

Każdy z nas, dzięki tym opowieściom, może sobie wyobrazić, jak tragiczne były to czasy, w których zdarzały się akty pełne miłości, troski, pomocy oraz szacunku dla drugiego człowieka. O takiej szczerzej i bezinteresownej pomocy marzymy również teraz.

Słuchając mojej babci i poznając historię mojej rodziny, jestem bardzo dumna, że mam takich przodków. Będę z całego siła naśladować swoich pradziadków i nieść pomoc innym, jak tylko będę mogła. Życzę każdemu takiej odwagi i patriotyzmu, każdej mojej koleżance i koledze.

Koszmar trwa w mojej głowie

Kinga Wilczyńska, klasa VII

– Marianna Pawlak

Urodziłam się w 1935 r. w Sierakowie koło Raciąża. Miałam czwórkę rodzeństwa. Moi rodzice byli właścicielami gospodarstwa rolnego. Gdy wybuchła wojna miałam zaledwie cztery lata, ale wrzesień 1939 utrwalił się na dobre w mojej głowie. Głośny płacz rodziców oraz rodzeństwa pamiętam doskonale. Nie sądziłam, że to tak zmieni moje życie.

Do dzisiaj stoją mi przed oczami ludzie w ciągniętych przez konie wozach, do których były przywiązane krowy. Wokół tych wozów biegały dzieci. Ludzie uciekali na wschód przed Niemcami. Moją rodzinę los rzucił pod Warszawę, ale niedługo potem wróciliśmy z powrotem na gospodarstwo. Niemcy zabrali moich dwóch starszych braci na przymusowe roboty. Starszy z nich Henryk kopał okopy przy szosach, a młodszego Jana wywieziono w głąb Niemiec. Ja osobiście znałam jednego Niemca, a zwłaszcza jego dzieci, które się z nami bawiły. Później, kiedy działania wojenne przybrały na sile, już nie przychodziły do nas. W lesie nieopodal naszego domu było składowisko amunicji i rodzice zabraniali nam tam chodzić. Częste kontrole żandarmów budziły strach w okolicznych mieszkańcach. Nadal pamiętam wielki głód, który wtedy panował. Warkot silnika motocykla do dziś budzi we mnie wiele emocji. Na wsi wszyscy ciężko pracowali, nawet dzieci. Dorośli musieli chodzić do pracy u niemieckich gospodarzy. Pewnego dnia Niemcy w brutalny sposób wyciągnęli z domu mojego sąsiada, który ukrywał się przed przymusową pracą na rzecz okupanta, zabrali go do samochodu i wywieźli. Miał 18 lat i więcej go nikt nie widział.

Gdy wkroczyła Armia Czerwona rodzice bardzo się cieszyli, że wreszcie nastąpi pokój, a moi bracia powrócą do domu. Zadowolenie jednak nie trwało długo. Pamiętam dzień, w którym żołnierze rosyjscy pojawili się w moim domu. Z siostrą i młodszym bratem schowaliśmy się

w stodole, w sianie. Głośne krzyki, łapanie kur przez żołnierzy, płacz matki. Nawet dziś mam te obrazy przed oczami. Wyzwoliciele, jak ich wtedy nazywano, stali się okupantami. Wyjadali nam resztki jedzenia, wyganiaли nas z domu i musieliśmy spać w stodole. Pewnego razu z rana musieliśmy uciekać z siedliska, bo żołnierze radzieccy wysadzili skład amunicji. Huk granatów i latające odłamki poraniły mojego ojca, który potem zmarł. Ja w czasie wojny pracowałam w gospodarstwie. W mojej okolicy było mało sklepów, więc trudno było cokolwiek kupić. Sklepy przed wojną w większości były własnością Żydów, a oni w czasie wojny zostali wypędzeni i w zdecydowanej większości zgładzeni w obozach koncentracyjnych. Do tej pory nie mogę oglądać filmów wojennych. Nie życzę nikomu, by musiał przeżywać to samo.

Zmiana 1989

Weronika Wiśniewska, klasa VII

– Anna Strzelecka

Urodziłam się w latach 60. w. Drobinie, moi rodzice byli rolnikami i prowadzili niewielkie gospodarstwo rolne. Chodziłam do szkoły podstawowej, a nauka w niej trwała osiem lat, jak obecnie. Lekcje w szkole odbywały się sześć dni w tygodniu. Nie było wolnych sobót. Odpoczywaliśmy tylko w niedzielę. Soboty stały się wolne dopiero pod koniec lat 70.

Czy może pani opowiedzieć o swoim doświadczeniu z komunizmem w Polsce?

Urodziłam się i dorastałam w czasach komunistycznej Polski. Nie było nam lekko, granice były pozamykane, bez paszportu i wizy nie można było wyjechać do innych krajów. Rzadko kto miał samochód, a do szkoły jeździłam tak zwaną „budą” ciągniętą przez traktor. Ludzie ze wsi poruszali się pojazdami konnymi lub saniami zimowymi. Rolnicy ziemię uprawiali przy pomocy konia, a zboża cięli kosami. Snopy zboża zestawiali w sterty, a potem je zwozili i młócili maszynami do młócenia albo ręcznie. Stopniowo do użycia wchodziły ciągniki, ale nie każdego było na nie stać.

Jak było z produktami w sklepach?

Rolnikom było lepiej, bo mieli trzodę chlewną, mogli dokonać uboju i mieć mięso. Poza tym nie było takiego wyboru produktów spożywczych i przemysłowych, jak jest obecnie.

Czy pamięta pani stan wojenny?

Stan wojenny rozpoczął się w roku 1981 i trwał do 1983 roku. Po jego ogłoszeniu nastąpił wielki kryzys gospodarczy. Sklepy świeciły pustkami, brakowało żywności, papierosów i alkoholu. Te artykuły można było zakupić tylko na kartki. Poruszać się można było od 6:00 do 22:00, bo po 22:00 obowiązywała godzina milicyjna, a ulicami

ciągle jeździły radiowozy i czołgi.

Ludzie buntowali się, były rozruchy na Śląsku, gdzie zginęło kilkanaście osób. Najbardziej tragiczne wydarzenia rozegrały się 16 grudnia 1981 roku w kopalni „Wujek” w Katowicach. Zginęło wówczas 9 górników, a 23 zostało rannych¹. Stan wojenny miał zniszczyć utworzony w 1980 r. Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”, na czele którego stał Lech Wałęsa, późniejszy Prezydent RP. W okresie stanu wojennego związkowców aresztowano i uwięziono, Wałęsę również. Znałam nawet panią, którą przetrzymywali bez zmiany odzieży przez długi czas.

Gdzie pani wtedy pracowała?

W latach 80. pracowałam w zakładach przemysłu dziewiarskiego Cotex, a później w Zakładach Wytwórczych Urządzeń Telefonicznych w Raciążu, tak zwanym «ZWUT». W czasach PRL nie było ciężko o pracę.

Co się zmieniło, kiedy wprowadzono w Polsce ustrój demokratyczny?

Początkiem demokracji w Polsce były wybory, które przeprowadzono 4 czerwca 1989 roku². To był jednak dopiero początek trudnych zmian. Upadła większość zakładów gospodarki centralnie planowanej, ludzie byli bez pracy i trzeba było zaciskać pasa. Jednak wierzyliśmy, że będzie lepiej. Żeby pomóc ludziom, którzy stracili pracę na skutek demokratycznych przemian, Jacek Kuroń³, ówczesny minister pracy i polityki socjalnej, wprowadził zasiłek dla bezrobotnych

- 1 Pacyfikacja kopalni „Wujek” – masakra górników protestujących przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego, dokonana 16 grudnia 1981 r. przez wojsko i milicję.
- 2 Wybory w Polsce 1989 – częściowo wolne wybory do Sejmu i Senatu we wrześniu 1989 r. wygrane przez opozycję, które rozpoczęły proces demontażu systemu komunistycznego w Polsce.
- 3 Jacek Kuroń (1934-2004) – polski działacz społeczny, opozycjonista, więzień sumienia, polityk. Wielką popularność przyniosły mu organizowane przez niego akcje społeczne, mające tagodzieć skutki transformacji gospodarczej po 1989 r. Do języka polskiego na stałe wszedł m.in. termin „kuroniówka” na określenie zasiłku dla bezrobotnych. W sondażach społecznych zaufanie wobec J. Kuronia deklarowało ponad 80 proc. ankietowanych. (źródło: dzieje.pl)

tzw. „kuroniówkę”. Wielu ludzi zaczęło otwierać zakłady prywatne i stopniowo zmniejszało się bezrobocie. W roku 2004 Polska weszła do Unii Europejskiej i zostały otwarte granice do państw, które należały do Unii. Obecnie żyje się nam w miarę dobrze, sklepy są przepelnione artykułami spożywczymi i wieloma innymi towarami. Mamy w zasięgu ręki elektronikę, telefony, komputery, samochody i dobrą pracę, żeby utrzymać rodzinę i godnie żyć.

O naszym udziale w Akademii Młodego Obywatela im. Jana Karaskiego

Patrycja Dziemian i Roksana Lewandowska, klasa VII

W dniach 9-12 września 2019 r. wzięliśmy udział w tegorocznej Akademii Młodego Obywatela im. Jana Karaskiego w Warszawie. W tym czasie w Warszawie uczestniczyliśmy w szeregu spotkań i zajęć z zakresu wychowania obywatelskiego, poświęconych kulturze i historii Polski. Mialiśmy także możliwość spotkania i dyskusji z przedstawicielami wyznań istniejących w Polsce. Zajęcia prowadzone przez trenerów z organizacji pozarządowych wprowadzały nas w sprawy wolontariatu, uczestnictwa obywatelskiego, rozpoznawania zagrożeń w internecie, szacunku i współpracy grupowej.

Pierwszego dnia wszyscy spotkaliśmy się w siedzibie Fundacji Edukacyjnej Jana Karaskiego, gdzie poznaliśmy kolegów i koleżanki z Miedniewic, którzy razem z nami uczestniczyli w programie. Dużo rozmawialiśmy o Janie Karaskim, historii, a nawet o miłości. Prowadzący spotkania opowiadali nam o ciekawej historii Jana Karaskiego. Podczas drugich zajęć zostaliśmy podzieleni na grupy, między którymi odbywały się rywalizacje. Pozwoliły nam one lepiej się poznać oraz budować pozytywne relacje między sobą. W trakcie spotkania panowała przyjazna atmosfera, dzięki której łatwiej było nam się poznać. Oceniając te zajęcia uważamy, że były bardzo ciekawe i interesujące. W tym samym dniu odbyło się również bardzo inspirujące spotkanie z panem Abdulem Jabbarem Koubaisym, który opowiadał nam o swoim życiu w Iraku i w Polsce. Rozmowa z nim pozostanie na długo w naszej pamięci.

Drugi dzień Akademii był pełen zwiedzania, rozpoczął się wycieczką po Pałacu Prezydenckim. Okazały gmach od 1994 r. jest siedzibą Prezydenta RP. Podczas przeszło godzinnego zwiedzania zobaczyliśmy m.in. historyczny Okrągły Stół, Kaplicę Zwiastowania Pańskiego oraz

Salę Chorągwaną. Następnym punktem były warsztaty „Patriotyzm i obywatelstwo”, w trakcie których dowiedzieliśmy się o współczesnym wymiarze patriotyzmu i o tym, czym właściwie jest postawa obywatelska. Następnie udaliśmy się do Muzeum Narodowego, gdzie poznałyśmy najwybitniejsze dzieła znajdujące się w zbiorach tego muzeum. Trasa zwiedzania obejmowała wybrane obiekty z Galerii Faras, Galerii Sztuki Średniowiecznej, Galerii Sztuki XIX Wieku oraz Galerii Sztuki XX i XXI Wieku. Z najstynniejszych arcydzieł sztuki XIX wieku prezentowanych w Galerii Sztuki XIX wieku obejrzałyśmy i zachwyciłyśmy się m.in. *Bitwą pod Grunwaldem* Jana Matejki – najbardziej podobały nam się duże obrazy.

Trzeci dzień rozpoczął się warsztatami „Polak w sieci”, w trakcie których dowiedzieliśmy się, jakie zagrożenie przynosi nadużywanie internetu oraz jak rozsądnie z niego korzystać. Następnie była wizyta w synagodze Nożyków i spotkanie z rabinem Michaeliem Schudrichem. Na zakończenie dnia zwiedziliśmy z przewodnikiem Muzeum POLIN. Nowoczesne i interaktywne muzeum bardzo nam się spodobało i mimo zmęczenia do samego końca pilnie przysłuchiwaliśmy się opowieści przewodniczki o tysiącletniej historii Żydów na ziemiach polskich.

W czwartym dniu rano udaliśmy się do Sądu Najwyższego, gdzie mieliśmy okazję zobaczyć, jak działa sąd i jak się w nim pracuje. Na sali rozpraw uczestniczyliśmy w symulacji rozprawy. Następnym punktem naszego programu było spotkanie ekumeniczne w Kościele Ewangelicko-Reformowanym, podczas którego została nam przybliżona historia tego kościoła i gdzie zobaczyliśmy kopię pierwszej Biblii przetłumaczonej na język polski. Kolejnym punktem było spotkanie ekumeniczne w Ośrodku Kultury Muzułmańskiej. Podczas tego spotkania poznaliśmy niezwykle interesującą historię i kulturę islamu. Przedstawiciele świata islamu zaprezentowali nam spojrzenie muzułmanów na otaczającą nas rzeczywistość.

Podczas Akademii dowiedzieliśmy się wielu rzeczy: zapoznaliśmy się z historycznym i kulturowym dziedzictwem Rzeczypospolitej, zobaczyliśmy, jak w praktyce funkcjonują instytucje państwowe,

odwiedziliśmy wiele wspaniałych miejsc, takich jak Pałac Prezydencki, Muzeum Narodowe, Muzeum POLIN, Ośrodek Kultury Muzułmańskiej oraz synagoga. Na pewno bardziej zaczęliśmy szanować i rozumieć inne religie. Ten wyjazd dał nam możliwość poznania wielu ludzi i na długo zapadnie w naszej pamięci, jako jedna z najważniejszych lekcji w naszym życiu. Mamy nadzieję, że program, w którym uczestniczyliśmy, pozwoli nam spojrzeć na rzeczywistość oczami Jana Karłowicza, z szacunkiem dla innych ludzi i ich religii.

W projekcie wzięli udział uczniowie i nauczyciele następujących szkół:

Publicznej Szkoły Podstawowej nr 3 im. Marii Konopnickiej w Łochowie
Publicznej Szkoły Podstawowej im. Zbigniewa Religi w Miedniewicach
Publicznej Szkoły Podstawowej im. Stanisława Konarskiego w Raciążu

SPIS AUTORÓW

ŁOCHÓW

Adrian Adamski – uczeń klasy VII b

Jakub Biernat – uczeń klasy VII b

Oskar Bobrowicz – uczeń klasy VII b

Radostaw Bylak – uczeń klasy VII b

Michał Chojecki – uczeń klasy VII b

Filip Denis – uczeń klasy VII b

Natalia Denis – uczennica klasy VII b

Paulina Denis – uczennica klasy VII b

Eliza Gajewska – uczennica klasy VII b

Radostaw Garwoliński – uczeń klasy VII b

Mateusz Kądziera – uczeń klasy VII b

Kacper Kopania – uczeń klasy VII b

Alan Krzyżewski – uczeń klasy VII b

Jakub Masztalerz – uczeń klasy VII b

Alicja Murawska – uczennica klasy VII b

Dawid Oniszk – uczeń klasy VII b

Magdalena Osemka – uczennica klasy VII b

Zuzanna Pełka – uczennica klasy VII b

Antonina Prochacka – uczennica klasy VII b

Eliza Reluga – uczennica klasy VII b
Kacper Skóra – uczeń klasy VII b
Dawid Strąg – uczeń klasy VII b
Wiktoria Styś – uczennica klasy VII b
Lena Świętochowska – uczennica klasy VII b
Maksymilian Wielgat – uczeń klasy VII b
Krystyna Wilczyńska – uczennica klasy VII b

MIEDNIEWICE

Hanna Baran – uczennica klasy VII
Martyna Jakubaszek – uczennica klasy VII
Dominik Bargieł - uczeń klasy VII
Weronika Jakubaszek – uczennica klasy VII
Wiktoria Jakubaszek – uczennica klasy VII
Angelika Jankowska – uczennica klasy VII
Julia Lewandowska – uczennica klasy VII
Adam Owczarek – uczeń klasy VII
Kinga Płuciennik – uczennica klasy VII
Lena Podolska – uczennica klasy VII
Franciszek Szymczak – uczeń klasy VII
Karolina Zielińska – uczennica klasy VII

RACIĄŻ

Anna Benkie – uczennica klasy VII
Natalia Gizler – uczennica klasy VII
Wojciech Bojanowski – uczeń klasy VII
Jakub Brdak – uczeń klasy VII
Adrianna Brodowska – uczennica klasy VII
Aleksandra Cieślak – uczennica klasy VII

Ida Dąbrowska – uczennica klasy VII
Kinga Długoszewska – uczennica klasy VII
Patrycja Dziemian – uczennica klasy VII
Kacper Grzankowski – uczeń klasy VIII
Kacper Jędrzejewski – uczeń klasy VII
Ewelina Kwiatkowska – uczennica klasy VII
Roksana Lewandowska – uczennica klasy VII
Dawid Ławnicki – uczeń klasy VIII
Weronika Marciniak – uczennica klasy VII
Natalia Nidzgorska – uczennica klasy VII
Liliana Sadowska – uczennica klasy VII
Aleksandra Stanowska – uczennica klasy VII
Zofia Szcześniewska – uczennica klasy VII
Zuzanna Wiejska – uczennica klasy VII
Kinga Wilczyńska – uczennica klasy VII
Weronika Wiśniewska – uczennica klasy VII

NAUCZYCIELE:

ŁOCHÓW

Anna Madalińska
Małgorzata Mościcka

MIEDNIEWICE

Magdalena Piekarska
Tomasz Skopp

RACIĄŻ

Krzysztof Langiewicz
Wojciech Stanowski